№ 7. Warszawa, dnia 4 (16) Lutego 1878 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Kwestye i Sprawy.

VI.

Kilka uwag o życiu towarzyskiem.

Arystoteles, najgłębszy myśliciel starożytności określił człowieka, jako „zwierzę towarzyskie.“ Znaczy to nietylko, że ludzie od natury są przeznaczeni do tworzenia państw i społeczeństw, ale nadto że człowiek nie może, podobnie jak niektóre zwierzęta, pędzić życia samotnego, lecz koniecznie potrzebuje towarzystwa podobnych sobie osobników. Naturalne otoczenie człowieka, żona i dzieci czyli rodzina, nie wystarcza mu także, są wprawdzie miejscowości, w których ludzie na dalekich przestrzeniach rozrzuceni, żyją pojedyńczemi rodzinami, mało mającemi styczności pomiędzy sobą, ale takie rodziny prędko prawie dziczeją i do wyższej cywilizacyi nie są zdolne. Wskutek naturalnego rozrostu, z jednej rodziny powstaje w następnem pokoleniu kilka rodzin, z tych znowu dalej powstaje ród cały, klan, plemię, pokolenie, wreszcie naród i państwo i historya mówi o wielu potężnych i znakomitych narodach i państwach, które tą drogą naturalnego rozwoju powstały, a przynajmniej w tradycyi i w przekonaniu ludzkiem rozwinęły się z rodziny. Otóż przy takim rozwoju i rozmnożeniu się ludzi, od jednej pary lub od wspólnych przodków pochodzących, z konieczności przechowują się związki pokrewieństwa, które z biegiem czasu przechodzą w związki przyjaźni, wreszcie sąsiedzkiej życzliwości, opartej na wspólności przekonań, potrzeb i interesów. Nawet gdy już tradycya o wspólnem pochodzeniu osłabnie lub całkiem się zatrze, nigdy ludzie nie potrafią zerwać zupełnie węzłów, które ich pomiędzy sobą łączą. Węzły te są rzeczą niezbędną do wytworzenia państw i do zaspokojenia potrzeb ekonomicznych; ale pozostawiwszy, jak na teraz, na uboczu tę stronę kwestyi, powiemy słów kilka jedynie o węzłach towarzyskich, o konieczności podtrzymywania znajomości z ludźmi i wzajemnego odwiedzania się, w celu zamiany myśli i niezbędnej rozrywki, z obcowania wzajemnego pomiędzy ludźmi płynącej.

Badacze przyrody powiadają nawet, że niektóre zwierzęta i ptaki posiadają zarody życia towarzyskiego, a mianowicie nietylko żyją gromadnie dla skuteczniejszego załatwienia swych potrzeb i dla obrony od nieprzyjaciół, ale nawet odwiedzają się wzajem: gromady bocianów i małp-stentorów słuchają całemi godzinami mów i rozpraw jednego z pomiędzy siebie, długo klekoczącego lub wyjącego w pośrodku zgromadzonego koła. U ludów najdzikszych, hotentotów, murzynów, indyan amerykańskich i t. p. sąsiedzi schodzą się na pogadanki. U starożytnych Greków rozmowy towarzyskie były rzeczą niezmiernie wysoko cenioną, a choć może nieporównane próbki lekkich pogadanek o przedmiotach głębokich, które mamy w dwóch dziełach Xenofonta i Platonach, noszących tytuł „Uczty“ są zbyt idealne i niecałkiem wzięte z rzeczywistości, wszelako bystry i ruchliwy umysł ateńczyków zdolnym był do prowadzenia podobnych rozmów. W języku starożytnych greków istnieje nawet dla oznaczenia stosunków i rozmów towarzyskich osobny wyraz (homilein, homileisthai), któremu odpowiedniego nie znajdujemy w żadnym innym języku. Już w poematach homerycznych, Iliadzie i Odyssei, znajdujemy próbki rozmów towarzyskich, w których brali udział starcy i młodzieńcy, ci ostatni skromnie przysłuchując się nauczającym rozprawom starców, a nawet nie były wyłączone od nich kobiety. Rzymianie, wzorem greków, również wysoko cenili rozmowy towarzyskie.

Jeżeli sięgniemy w dalszą, a nawet bliższą przyszłość naszego własnego kraju i narodu, musimy przyznać, że dawniej jakoś więcej było między ludźmi życia towarzyskiego i stosunków przyjaznych. Czytając np. mistrzowskie szkice i obrazki Szajnochy i pamiętniki z ubiegłych stuleci, uważamy, jak to dawniej np. mieszkańcy jednego miasta żyli niemal jakby jedna rodzina, a niemniej mieszkańcy dworów wiejskich ciągle ze sobą obcowali, udzielając sobie nawzajem trosk i kłopotów, szukając rady, roztrząsając różne kwestye zblizka ich obchodzące, a wreszcie szukając wzajem rozrywki. Starzy gawędzili przy kominku i lampce wina, młodzież gwarzyła pod okiem pani domu. Nie tak to nawet jeszcze dawno, gościnność i życie towarzyskie płynęły pełnem korytem, a rozrywki i zabawy nie były ani hałaśliwe, ani zbytkowne, ale szczersze i bardziej ochocze niż teraz.

Nie chcemy upatrywać w minionej bliższej i odleglejszej przeszłości ideałów ani pod tym, ani pod innym jakimkolwiek względem, przyznajemy więc chętnie, że i wtedy, jak w ogóle zawsze od czasu jak ludzie są ludźmi, życie towarzyskie nie było, w większym lub mniejszym stopniu, wolnem od braków, których przyczyny były i są następujące. Po pierwsze okoliczność, że ludzie żyją nie samem słowem, po drugie egoizm ludzki, po trzecie próżność, po czwarte ta okoliczność, że niewszyscy upatrują w tem samem zabawę i rozrywkę, po piąte brak umiejętności prowadzenia rozmowy towarzyskiej i popełnianie w niej nadużycia. O każdej z tych główniejszych przyczyn powiemy słów kilka, a przytem, choć częściowo, wskażemy, o ile każda z tych przyczyn wzmogła się lub uległa zmianom w czasach dzisiejszych u nas, w porównaniu z niezbyt nawet odległą przeszłością.

Po pierwsze, co się tyczy wymagań ciała czyli warunków fizycznych zebrań towarzyskich. Po wszystkie czasy uważano za potrzebne częstować gości jadłem i napitkiem, co nawet z natury jest rzeczą

konieczną. Ofiarowano gościowi co tylko było w domu najlepszego, odpłacając mu się tem niejako za przyjemność, którą sprawił gospodarzowi swemi odwiedzinami, a zarazem miano na celu zatrzymanie gościa i zachęcenie go do powtórzenia odwiedzin. Takie, mniej więcej, musiały być pierwotne pobudki gościnności u ludów mało wykształconych umysłowo, ale bardziej może niż dzisiejsi słuchających popędów serca. Powiadają też niektórzy, że im niżej stoi który naród pod względem cywilizacyi, tem większą odznacza się gościnnością. Zdanie to, bardzo często powtarzane przez trzeźwych realistów, którzy radziby wykorzenić wszelkie popędy serca i wszelkie cnoty, oparte na instynktowej miłości bliźniego, ażeby natomiast wsunąć wszystkim w rękę kredkę arytmetycznego altruizmu, zdanie to jest jednak fałszywem, a więc fałszywym będzie również wyprowadzony z niego ten przewrotny wniosek, jakoby gościnność była oznaką upośledzenia w cywilizacyi. Chociaż bowiem niewątpliwie niektóre ludy, zwykle za dzikie uważane, celują najserdeczniejszą gościnnością, znamy jednak i odwrotną stronę medalu. Tak np. u wychwalanych z powodu gościnności arabów, najczęściej całe przyjęcie obrachowane jest na podarki, które gość musi dać gospodarzowi i przytem koniecznie przewyższające wartość poczęstunku, gdyż w przeciwnym razie gościowi grozi gwałt i rabunek.

(d. c. n.)

MRÓZ.

(z rosyjskiego — muzyka Dubuqu'a).

Ej mrozie, ty mrozie! ej dziarski ty zuchu!
Chodzisz w rękawicach i w ciepłym kożuchu.
My z żwawą ochotą witamy cię mrozie,
W kuligu hulaszczym na zimowym wozie.
Pamiętasz ty mrozie ową chwilę błogą,
Kiedyśmy lecieli z moją lubką drogą,
Na sankach jak strzała przy dźwięku dzwoneczka,
I ona mnie tuląc, moja gołąbeczka,
Mówiła: „Ach zimno! ach srogi wiatr wieje!
Daj mi twoje ręce niech ci je ogrzeję.“
Patrzałem jej w oczki — tam życia tak dużo,
Patrzałem jej w liczko — liczko kwitło różą;
A serce mi biło, a serce mi drżało!
Ciepło było w duszy, choć chłód ziębił ciało.
Dziś bystro przelatam rodzinne me pola
Samotny i nudny — biednaż moja dola!
Ej mrozie, ty mrozie! ej dziarski ty zuchu!
Zimno w mojem sercu, zimno w moim duchu!

Autor pamiątek z Litwy.

Obrazki Warszawskie

ułożone w trzech tomach

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza

ofiarowane

Autorce Kroniki zagranicznej w Bibliotece Warszawskiej

(Dalszy ciąg).

Rozdział XV.

Kiedy Klarka weszła do bawialni, goście już prowadzili rozmowę dość ożywioną. Tuż przy pani Mikłockiej zajmującej wyłącznie kanapę z jednej strony siedział Anzelm, po drugiej Bolesław zajęty rozmową z Mieczysławem. Przy Anzelmie siedział Bonawentura a przy nim Frania z ręczną jakąś robótką wyłącznie na ten cel przy gościach przeznaczoną. Pani Mikłocka rozpowiadała o czasach, w których pan Anzelm jako młody bywał w ich domu, o dawnych znajomych, tylko wuja zostawiła w spokoju nie mogąc zapomnieć wrażenia, groźbą Klarki wywołanego, o możności zjawienia się jego ducha. Pan Anzelm słuchał dość chętnie, przypominał dawne wypadki i różne okoliczności, opowiadał o losie dawnych znajomych, o zmianach przez czas sprowadzonych, dość że rozmowa wlekła się jako tako. W podobnej treści pani Mikłocka była niewyczerpaną, dość znośną i co ważniejsza nie rażącą dziwactwem swoich postrzeżeń. Pan Bonawentura jako wielki lubownik płci pięknej, spoglądał z ukosa na rączki Frani szydełkiem uzbrojone, na jej dość zgrabną kibić, pokręcał wąsy, uśmiechał się i czasami zatarł ręce gdy wystąpił z jakiem pochlebnem wyrażeniem o jej pracowitości i potędze spojrzenia. Frania wierna zaleceniu siostry, a więcej z przyzwyczajenia, spoglądała czasem na podżyłego kawalera i myślała o Antonim, żałując że go nie ma w towarzystwie.

Klarka wchodząc odrazu badawczem okiem objęła całe towarzystwo a zobaczywszy że wszystko w porządku, przysiadła się do pana Anzelma z zamiarem poproszenia go o protekcyą dla Mieczysława ale tak zręcznie, żeby się nie domyślił że to z nią ma jaki związek. Prosząc patrzyła na niego z niezmiernem ożywieniem, a nawet figlarnością. Stary pan Anzelm uśmiechnął się.

— I owszem, mam różne stosunki, rzekł, zrobię wszystko bardzo chętnie mając na pamięci prośbę panny Klary tak serdecznie do mnie za równie serdecznym zapewnie zaniesioną.

— Jakże panu będę wdzięczną, odrzekła Klarka ujmując rękę Anzelma w swoje dłonie i nie puszczając jej zaraz jakby przez zapomnienie. Jest to młodzieniec przyzwoity, porządny i bardzo wykształcony, ale przypuszczenie pańskie co do serdeczności serdecznika, jak go pan nazwałeś, jest najzupełniej mylne. Być może, mówiła dalej przybierając poważną minkę, że ma jakie względem nas zamiary, bo bywa dość często i szczególniej dla Frani jest grzecznym i uprzedzającym, ale tak ja jak siostra uważamy go jeszcze jak dziecko, lubimy jak brata, ale zawsze unikamy wszystkiego coby w nim mogło nadzieję bliższego związku obudzić.

— To mnie dziwi panno Klaro, wiek pana Mieczysława zupełnie jest odpowiedni...

— Tak, to prawda, przerwała Klarka, ale młodzież dzisiejsza tak przewrotnemi rządzi się zasadami, tak jest rachującą i materyalną, że mając przyzwoite utrzymanie, lękamy się aby ten nasz byt dobry nie był jedyną pobudką do małżeńskiego związku mogącego nam straszny zawód sprowadzić. Postanowiłyśmy też wyjść jedynie za ludzi starszych, poważnych, którzyby nam przypominali naszego ojca kochanego. Pan byłeś jego przyjacielem i mówiąc to, Klarka znowu ujęła Anzelma rękę więżąc ją w swojej dłoni; znasz więc dobrze w jak zacnych, moralnych i religijnych wychował nas zasadach. Czyż one mogą harmonizować z pojęciami dzisiejszej młodzieży?

Pan Anzelm chrząknął i sięgnął do peruki co było znakiem potwierdzenia. Klarka mówiła dalej:

— My od mężów żadnej nie potrzebujemy pomocy, tak jak dziś tak i później z własnej pracy utrzymywać się będziemy, dochodami więc swemi będzie mógł rozporządzać jak mu się spodoba, ale wymagamy aby szanowany i poważany obdarzył nas równym szacunkiem, abyśmy pod jego opieką znaleźli w świecie pomiędzy ludźmi cześć jaka jemu i nam przynależy. Młody powagę tę musi dopiero zdobywać a jeśli nie zasłuży na nią, to jakiż los czeka biedną żonę? My przyszłości naszej na loteryą stawiać nie chcemy i dla tego postanowiłyśmy wyjść za starszych...

— Jednakże, panno Klaro, młodość ma swoje prawa, przerwał pan Anzelm zwracając się do panienki i jakoś baczniej na nią spoglądając, ale Klarka nie dała mu mówić.

— Mąż starszy, wywodziła dalej, choćby o czterdzieści lat, to jedyne nasze życzenie o spełnienie którego codziennie Boga prosimy. Przyzwyczajone do krzątania się około kochanego ojca, otoczyłybyśmy go pieczołowitością, wygodami, o jakich nawet nie marzył. Przewidywałybyśmy jego myśli, życzenia, szanowałybyśmy przyzwyczajenia i nałogi, nawet grymasy gdyby je posiadał, bo to wszystko aż nadto wynagradzałoby nam przekonanie, że się nosi nazwisko człowieka prawdziwie zasłużonego. Pan jako mężczyzna nie pojmuje podobnego szczęścia, ale my kobiety znamy je i łakniemy całą duszą. Tego któryby mnie niem obdarzył, jakżebym kochała... czciła... uwielbiała...

Klarka kończąc z uśmiechem wpatrzyła się w Anzelma, ujęła znowu jego rękę i ściskając dodała:

— Wybacz pan, że go może nudzę tak szczerem wynurzaniem przekonań moich, ale stało się to mimowoli, sama nie wiem jak i dlaczego? Lękam się nawet.... ale pan zbyt zacnym jesteś, zbyt godnym szacunku, mówiła dalej spuszczając oczy, abyś to wyznanie młodej dziewczyny wyszydził. Z kimże się jednak niem podzielę... serce często bywa despotyczne... wielomówne...

Spojrzenia Klarki i Anzelma skrzyżowały się z sobą, Klarka uśmiechnęła się dodając cicho tak jednak że Anzelm usłyszał:

— Mężczyzni to czasem bywają okrutni! a w myśli szepnęła: jakoś rozruszał się, trzeba kuć dalej żelazo póki gorące.

Klarka zgadła. Anzelm był starszy od niej tylko o lat trzydzieści, a ona, jak powiedziała, mającym nawet lat więcej jak czterdzieści nie byłaby pogardziła. Wymowa zrobiła swoje; Anzelm pomyślał, że to wcale nie byłoby złem mieć takiego rezolutnego i czynnego ptaszka w swej kawalerskiej samotni, a Klarka dalej kuła rozgrzewające się stare żelazo młotem swej zalotności.

Przez czas ten położenie pani Mikłockiej było rozpaczliwe. Pozbawiona rozmowy z sąsiadem, czuła że jej się na sen zbiera, prostowała się, mrużyła oczy nie śmiejąc je przetrzeć aby rąk z pod burnusa nie wydobydź. Chciała się oprzeć o tylną poręcz, ale sterczące sprężyny każde poruszenie robiły zbyt dotkliwemi. Trzymała się więc brzegu kanapy, kręciła, wierciła, i gdyby nie spojrzenie karcące Klarki, z pewnością byłaby się zsunęła pod stół na podłogę. Wzrok córki przykuł ją do miejsca, westchnęła biedaczka i szepnęła w myśli:

— Tak zawsze wuj na mnie spoglądał gdy był w złym humorze.

I byłaby zapewne przypominała sobie wszystkie chwile tego złego humoru jakie je sprowadzały, ale obawa o ducha nieboszczyka i tej jej ulgi nie dozwoliła. Wpatrzyła się więc w Klarkę i Anzelma, później przerzuciła oczy na Franię i Bonawenturę i zobaczywszy że i jedna i druga para z zajęciem rozmawia, że Anzelm patrzy w Klarę jak w tęczę a Bonawentura pokręca wąsy i często chichocze, uśmiechnęła się z zadowoleniem i wyprostowawszy pomyślała:

— Nowy kłopot z weselami a tu mieszkanie takie ciasne. Kapela chyba w sieni grać będzie. Z wyprawą także roboty niemało. Haftowane po-

włoczki i spódniczki, jedwabne suknie, *śrybne* kubki i miednice, oj! aż głowa boli kiedy się to wszystko przygotuje.

Zkąd jednak wezmą się na to pieniądze pani Mikłocka nie pomyślała nawet. Bez wyprawy i kapeli zamążpójścia nie pojmowała, nie wątpiła więc że i córki jej wystąpią odpowiednio.

— Podłogę trzeba będzie zafroterować, myślała dalej, tylko tę wielką dziurę przy piecu nie wiem kto załata. Ksiądz kanonik to zawsze do nas przychodził w łatanych butach, a raz to nawet czapkę miał załataną, jak padł na nią węgiel i dziurę wypalił. Trzeba będzie pająk u sufitu powiesić a lampy przy ścianach...

Nagle pani Mikłocka ucięła; Klarka dała znak aby przysłuchiwała się rozmowie Bolesława z Mieczysławem.

Matka natychmiast zwróciła się do młodzieńców, rozbudzone myśli pierzchły i pozostała słuchaczem rozmowy, z której jednego nawet wyrazu nie rozumiała. Była ona dość ożywiona, szło o materyalizm który Mieczysław wysławiał a Bolesław nie chciał mu przyznać absolutnej prawdy. Młodzi gorąco rozprawiali, Mieczysław wyginał się a grdyka biegała mu jak mysz w łapce szukając otworu do ucieczki. Stanisław zwany Lampartem, zawsze mówił że to przynęta na kota, która go kiedy o śmierć przyprawi. Bolesław z mniejszym zapałem bronił swoich przekonań ale z większą nierównie znajomością przedmiotu od przeciwnika.

Pan Anzelm zajęty Klarką i po raz może setny na nowo obudzoną chętką, małżeństwa nic na nich nie zważał; Bonawentura patrzył bacznie i zamiast miłosnych zwierzeń, jakich była pewną pani Mikłocka, zabawiał Franię dowcipkami o obecnych i nieobecnych, przypinając im łatki ubarwione różnemi anegdotkami.

— Panno Franciszko, szepnął półgłosem trzymając rękę przy wąsach, niech pani przygotuje igłę i nitkę, żeby było czem zszyć pana Mieczysława jak się złamie i na dwie rozdzieli połowy. Cóż, czy nie prawda?

Frania cichaczem zachichotała, Bonawentura chrząknął i mówił dalej:

— Myślałem że się pani na mnie rozgniewa, żem zażartował z jej konkurenta.

— Mogę pana zapewnić że nim nie jest.

— Jakto? Serce zatem pani wolne?

— I na to nie wiem jak odpowiedzieć, odrzekła Frania z największą szczerością, ale Bonawentura nie zrozumiał stanu podobnej niepewności. Rozśmiał się głośno i mruknął:

— Ja powiem pani otwarcie, że zawsze muszę się kochać albo w blondynce albo w brunetce, wszak prawda że to zabawne?

— Nie wiedziałam że pan tak niestały?

— Nie ja pani tylko kobiety, które uśmiechem wabią a potem częstują figą. Muszę więc pocieszać się, to bardzo naturalne.

— Zapewne, potwierdziła Frania i często pan lekarstwo to na pociechę używasz?

— Rozmaicie, jak wypadnie, najprzyjemniejsze jednak byłoby z ręki pani podane, odrzekł Bonawentura i nie czekając odpowiedzi, znowu szepnął z ręką przy wąsach trzymaną:

— Panno Franciszko, pan Anzelm zgubi perukę, dalipan zgubi i rozpłynie się sercem dla panny Klary. Jakżebym rad, żeby się stary raz już przecie ustatkował.

Kiedy tak stary motyl bawi Franię nie grzesząc zbytnim polotem myśli, Klarka nie próżnowała ani chwilki i jak dobry strategik coraz nowsze wyrzucała pociski, sypała spojrzenia, westchnienia, to spuszczała oczy, to się uśmiechała, a pan Anzelm coraz się lepiej krygował i stał się tak rozmowny jakim nigdy nie był dotąd. Klarka to spostrzegła i cała oddana dokonaniu spodziewanego zwycięztwa, wypuściła ze swej uwagi wszystkich, nawet matkę. Pani też Mikłocka czując się zwolnioną z pod tak doKuczliwej opieki, nabrała śmiałości i postanowiła ze swobody korzystać.

Mieczysław właśnie skończył jakieś długie wywody w obronie materyalizmu i streszczając swoje wywody dodał:

— Tak szanowny kolego, co uchodzi z pod naszych zmysłów nie może być przedmiotem badania. Materya nas otacza, żyjemy w niej, sami jesteśmy niczem innem tylko materyą na różny sposób ukształtowaną, nią więc przedewszystkiem zajmować się winniśmy. Tak, tak, materya i nic więcej.

Młodzi umilkli zbierając zapewne nowe dowody do poparcia swoich przekonań a pani Mikłocka uderzona wyrazem materya, rzekła:

— Oh! znam dobrze materyą, raz jak się zakłółam igłą, to mi wysadziła cały paznokieć i tak rozebrała żem aż dostała gorączki.

Bolesław spojrzał na nią, ale nie miał czasu do rozwagi, gdyż Mieczysław przyzwyczajony do podobnych popisów pani Mikłockiej, nie zwracając na nią nawet uwagi mówił dalej:

— Dlatego też tak trudne wynalezienie stanowiska, że w otaczającym nas świecie siła rządzi wszystkiem. Młodzi nie mają jej, cierpią i borukają się z przeciwnościami, gdy starsi zagarnąwszy wszystkie korzyści tuczą się niemi.

— Uwagi nie pojmuję należycie, odezwał się Bolesław, czybyś kolega...

— Ależ to bardzo jasne, przerwał Mieczysław. W administracyi, w sądownictwie pełno aplikantów, bo starsi nie chcą iść na emeryturę. W linii obrończej starzy wszystkich klijentów jakby zasekwestrowali, to samo zrobili doktorzy bez względu że z uniwersytetu tyle wychodzi młodzieży zdolnej i obiecującej. W przemyśle zaś i handlu, któż z żydami wytrzyma konkurencyą?

— Aha! konkurencya, szepnęła pani Mikłocka i dalej mówiła głośno: ksiądz kanonik wielki przyjaciel mego wuja, to zawsze powiadał, że do szafeczki z likierami i różnemi nalewkami to u nas większa konkurencya jak do kościoła albo szkoły.

Pan Bonawentura pragnąc popisać się z dowcipem o posiadaniu którego był najzupełniej przekonany, rozśmiał się:

— Nic dziwnego pani dobrodziejko, rzekł, w kościele nudy, w szkole mozół, a przy szafce z likierami najczęściej gosposia ładniutka jak kwiatek.

— Ustawy społeczne, odezwał się znowu Mieczysław cokolwiek zadąsany zwrotem podobnym rozmowy, wymagają gruntownej reorganizacyi. Z kart zapisanych dotąd ułożony wielki stos i ogniem strawiony, to najpiękniejszy pomnik dla minionych wieków, co niby dęby w puszczy zdumiewają ogromem a wewnątrz spruchniałe i gnijące. My ujmujemy w ręce nową książkę a na jej czystych kartach wypisujemy idee, co w ludzkość wszczepione pchną ją na drogi dotąd nieznane. Gmach ruiną zagrożony burzy się a nie podpiera i stawia się nowy uwzględniający wszystkie potrzeby.

— A gdzież będzie mieszkanie tymczasowe? zapytał Bolesław.

— Hm! hm! mruknął Mieczysław cokolwiek zaniepokojony, nie tyle zrobionem zapytaniem jak Klarką motającą Anzelma jak pająk muchę w sieci pajęczej.

Nastąpiła chwila milczenia, pani Mikłocka nie omieszkała z niej skorzystać.

— Mój wuj, rzekła, jak stawiał nowe kurniki, to wszystek drób wegnał do mego pokoju, powiadając że obiera go na tymczasowe dla niego mieszkanie. Wrzawy nie brakowało; biło się to, skubało, dwóch kogutów na śmierć się zażarło, a potem śmiał się ze mnie i rozpowiadał wszystkim, że to tak o mnie rywale porwali się za karki.

— Chyba za grzebienie, mruknął Bonawentura.

Śmiech poruszył wszystkie usta, nawet Mieczysław o mało nie parsknął, Klarka spojrzała na matkę, ale nadaremnie. Odniesiony tryumf zupełnie ją wyzwolił z pod wpływu córki a ta znów lękała się na chwilę zostawić samego pana Anzelma, aby nie oprzytomniał i nie wrócił do zwykłej sobie obojętności. Pani też Mikłocka śmiała się z drugiemi w najlepsze, a gdy usłyszała jak Mieczysław zwracając się do Bolesława rzekł:

— Na zapytanie pańskie przedstawię rozumowanie bardzo krótkie... odezwała się zaraz:

— U moich wujów był ekonom, co zawsze rozumował, ale go nikt nie rozumiał.

Słuchacze znowu rozśmiali się, młodzieniec przygryzł wargi, Klarka zawołała na matkę i spojrzała tak groźnie, że pani Mikłocka spuściła oczy i usta ścisnęła w mołdrzyk niby panienka szesnastoletnia. Nie mogła słuchać, bo rozprawiających nie rozumiała, ani mówić bo się lękała córki, po małym wypoczynku puściła wodze myśli o wuju i przyszłych weselach córek, zajmując się szczególniej uporządkowaniem i ową nieszczęśliwą dziurą w podłodze, w której raz o mało nogi nie zwichnęła.

Kiedy tak pani Mikłocka marzy, pan Bonawentura dowcipkuje, Anzelm wikła się, a Bolesław niecierpliwi się przeciąganiem wizyty, pomiędzy młodymi zapaśnikami zawiązała się rozmowa z nowym zapałem:

— Nie panie, mówił Bolesław, choć nas łączy koleżeństwo uniwersyteckie ale rozdzielają pojęcia. Co lekceważysz ja szanuję, co poniżasz ja podnoszę, co odrzucasz ja przygarniam. Przeszłość dla mnie to wielka księga mądrości, z której uczę się jak żyć w obecności i odczytuję wskazówki na przyszłość. W ten nieskończony łańcuch rozwoju myśli ludzkiej niemający początku, wplatam malutką chwilkę zowiącą się obecnem życiem i uczuwam całą rozkosz czekającej mnie nieśmiertelności. Mamże więc dobrowolnie wyłączać się z pomiędzy mnóstwa i odgrodzony murem samolubnych pragnień, jednostkę swoją stawiać po nad wszystkich i wszystko?

— Dlaczegoż przypuszczać ostateczności, mruknął Mieczysław, przeszłość zanadto była marząca...

— A obecność, przerwał Bolesław, zanadto chce być realną. Są to ostateczności zarówno szkodliwe, i jako takie ludzkości nie zapewniające bezwarunkowego szczęścia. W każdym razie jednak wygórowane marzenie odrywa od ziemi, podnosi ducha, wspina go na wyżyny przedtem niedostępne i tworzy bohaterów. Bezwzględny zaś realizm ducha przykuwa do ziemi, podsyca wszystkie cielesne namiętności, ludzkość cofa do pierwiastkowej dzikości i wydaje oszustów, zbrodniarzy i samobójców.

— Przesadzasz kolego, przerwał Mieczysław. Czyżby realizm miał być tylko szkołą tak złych wydającą uczniów? Czyż tylu wielkich myślicieli jemu poświęconych, stanowiących zaszczyt ludzkości, może zasługiwać na tak okropny zarzut. Za jednym zamachem ścierać na proch wielkości, dla których świat cały ma cześć i uwielbienie, to na to trzeba wielkiej odwagi której ci szczerze zazdroszczę.

— Nie odwagi kolego, odparł Bolesław, ale przeciwnie, pokory i uznania swojej nieświadomości. Myśliciele owi to mędrcy, a my dopiero uczący się, oni wiele wiedzą i wiele umieją, a my jeszcze bar-

dzo mało. Oni znają sto prawd rządzących światem a setnej pierwszej dochodzą, my je tylko cośkolwiek pojęliśmy, a tę ostatnią będącą dopiero w badaniu z wnioskami przypuszczalnemi, bierzemy za ostateczną i niewcielani w poprzedzające ją zdobycze naukowe, wyrywamy pojedyncze formuły i jako bez związku z całością najfałszywiej pojmujemy i stosujemy. Mędrcom wolno przypuszczać wszystko i najśmielsze tworzyć teorye, bo to ich przeznaczenie, bo tylko tym jedynie sposobem do prawdy się dochodzi: nam maluczkim należy to poznawać, ale zawsze stojąc przy zasadach ludzkością rządzących, pilnując tylko aby przez złych nie były wyzyskiwane. Nie zapominajmy bowiem że zasady stanowiące prawdy społeczne, choćby nawet z twórczej fantazyi wyrosłe, dają ład, bezpieczeństwo ogólne, godzą z przeciwnościami, wlewają otuchę lepszej przyszłości, są hamulcem dla złych, zachętą dla dobrych i że na ich gruncie wzniósł się wspaniały gmach całej ludzkości, dający ochronę nietylko nam mało umiejącym, ale milionom niemal biernym, zupełnie wiedzy pozbawionym. Cóżby się stało z nami i z nimi, gdybyśmy ten grunt na którym stoimy z pod nóg nas wszystkich usunęli? Rozpacz i ostatnie rozbestwienie byłoby tego następstwem.

Mieczysław, któremu się nie spodobało pomieszczenie go w rzędzie malutkich mało umiejących, chciał ogniście coś na to odpowiedzieć, bo się poprawił, założył nogę na nogę i przełknął, ale Franek z Zosią weszli z zastawą wieczorną i jednocześnie pani Mikłocka krzyknęła przeraźliwie i zerwawszy się z kanapy, spiesznie przeszła do kuchenki.

Powód tego był ważny.

Biedaczka myśląc o pomieszczeniu kapeli podczas spodziewanych wesel i nieszczęśliwej dziurze w podłodze, zaczęła marzyć o minionych czasach, o ucztach u wuja odprawianych, o wiwatach i okrzykach zgromadzonych, którym trzaskanie z biczy furmanów a nawet czasami i wystrzały z moździerza towarzyszyły. W marzeniu posuwając się coraz dalej, pomału przymrużyła oczy, usnęła i śniło się jej na tle słyszanych opowiadań, że się znajduje wśród szranek rycerskich, że stoi przy tronie prześlicznej królewnej, bo sama na tronie nawet we śnie nie śmiałaby usiąść, że wuj z panem Hessem wjeżdżają w pełnej zbroi, walczą z sobą, ścierają się i nagle wuj podsadził pod nią kopię i chciał ją gwałtem dźwignąć ku sobie na konia. Przerażona krzyknęła i uczuwszy ból w rzeczywistości, biorąc zgromadzonych za rycerzy sennego marzenia, rzuciła się w pospieszną ucieczkę. Sprawcą tego wszystkiego była nielitościwa sprężyna, która zbytecznie przyciśnięta ciężarem śpiącej pani Mikłockiej, ostrym końcem wydobyła się na wierzch i przebiwszy kapę na burnus przerobioną, zanadto energicznie dała uczuć o swej obecności. Biedna kobieta pędzona strachem na nic nie zważała, i choć czuła że coś ją przytrzymuje, coś za nią drze się i skrzeczy, pędziła przez pokój chwilki się nie zatrzymując. Część też burnusa została przy kanapie, a z resztą na niej pozostałą wpadła do kuchenki i padła na łóżko szepcząc do Antoniego.

— Jakiż sen straszny miałam, zdawało mi się że wuj na wskroś mnie przebija!

Wszystko to tak się szybko odbyło, że Klarka zagadana z Anzelmem, dopiero wtedy zwróciła uwagę, gdy zobaczyła szmat kapy sunący się z kanapy na ziemię i matkę znikającą w drzwiach kuchennych a raczej bielejącą jej spódnicę bez żadnej osłony. Słabszych nerwów osoba byłaby wypadek tak niefortunny z pewnością przypłaciła przynajmniej zemdleniem, ale Klarka przyzwyczajona nigdy nie tracić przytomności, najprzód jednym rzutem oka objęła zgromadzonych, a przekonawszy się że niegrzeczność sprężyny uszła ich uwagi i że wszyscy z troskliwą obawą zapytują, czy mama dobrodziejka czasem nie zasłabła, uspokoiła się, szmat odczepiła, rzuciła go pod kanapę i jednocześnie oświadczyła, że to nagły ból zęba był powodem krzyku mamy jako zbyt nerwowej i wiekiem osłabionej.

Nastąpiło rozdawanie szklanek, talerzyków i noży, goście poruszyli się, przysunęli do stolika, Bonawentura oświadczył żal z nieobecności pani Mikłockiej, a Frania wyniosła się cichaczem na skinienie Klarki, przypilnować aby matka nie nabrała przypadkiem ochoty do powtórnego wejścia do salonu.

— Daj mi święty pokój, odrzekła poprawiając się na łóżku, ani myślę nawet się ruszyć tak jestem rozespana. Wuj zawsze o szóstej jadł kolacyą a o dziewiątej chrapał w najlepsze, a ja jeszcze obiadu nie jadłam i tak jestem głodna że aż czuję włosy na głowie.

Frania przyjrzawszy się burnusowi z wydartym środkiem z tyłu, krzyknęła ah! i załamała ręce.

— A to się dopiero mama pięknie sprawiła, i cóż my teraz zrobimy...

— A cóż takiego?

— Kapa ze szczętem zniszczona!

— Nasz proboszcz miał cztery kapy, odrzekła pani Mikłocka, i zawsze mówił że wszystkie nic nie warte.

— Ale ta była prawie nowa.

— Przecieżem ją miała na sobie, to wiem i pocóż mi to gadasz.

Frania widząc że się z matką niedogada, ponarzekała jeszcze troszkę, przyjrzała się pilnie szkodzie i uprosiwszy Antoniego aby czuwał nad matką, i zajął się przygotowaniem pączu po kolacyi, poszła zabawiać gości. Anzelm, Bonawentura i Bolesław wymówili się od wszelkiego traktamentu, poprzestając tylko na herbacie, panienki także nie jadły pod pozorem spóźnionego obiadu, choć ból głodu czuły nie we włosach jak matka oświadczyła. Jeden tylko Mieczysław zajadał za wszystkich, nabierał obficie kawałków golonki, salcesonu i serdelków, a gdy Klarka według przyrzeczenia, podsunęła mu całego szczupaczka, uśmiechnął się do niej z wielkim wdziękiem a potem zaraz skrzywił zobaczywszy, że salaterkę z rybami podano Frankowi, aby ją wyniósł do kuchni. Było to ostrożne zabezpieczenie się przed znaną żarłocznością Mieczysława; miał więc powód do niezadowolenia, zwłaszcza że nie minęło jego uwagi, iż w salaterce znajdował się okazniejszy jeszcze szczupaczek od tego który mu się dostał, a przy nim kilka innych rybek bardzo ponętnie wyglądających. Pozbawiony nadziei bliższego z niemi zapoznania się, zabrał się na nowo do mięsiwa, ale jak tylko szczupaczka podsunął ku sobie, talerzyki z wędlinami nagle znikły, nieznacznie uprzątnięte przez Franię i Zosię. Wprawa ich pod tym względem dochodziła do doskonałości, wytresowała je Klarka i posługiwała się szczególniej w wypadkach, gdy okarmianie gościa żadnego interesu nie przedstawiało. Mieczysław był już takim, nie potrzebował przynęty, a choć Klarka z własnym nawet uszczerbkiem starała się aby głodnym od nich nie odchodził, nie chciała jednak aby się napychał a one głodnemi pozostawały. Mieczysław po szczupaczku obejrzał się, brak spostrzegł, ale czując się dosyć nasyconym, nie zasępił się ani nie burknął jak to czasami umiał robić. W podobnych razach Klarka tłomaczyła się nieuwagą siostry, lub też odwoływała się do przepisów hygieny zalecającej przede wszystkiem umiarkowanie w jedzeniu. Mieczysław przypomniał sobie tę doktorską Klarki troskliwość i był jej wdzięcznym za pamięć. Brak jej w pierwszych tygodniach znajomości przypłacił dwa razy wielką niestrawnością, ktorej lękał się jak morowej zarazy. Cokolwiek go tylko niepokoiło zbytnie zajmowanie się Klarki Anzelmem, widoczne dla wszystkich, tymbardziej dla niego. Ale Klarka kuta na cztery nogi, spojrzeniami uspakajała go tak dalece, że aż szepnął w myśli:

— Co to za nieoszacowana dziewczyna, jak ona zręcznie ujmuje starego wygę aby protekcyą dla mnie wyjednać. A stary ma stosunki i wiele może jak zechce.

Przyniesienie pączu przerwało dalsze dumania: przeznaczony dla Mieczysława był cieniutki jak lemoniadka z solą szczawikową, bo trunków nie mógł znosić, dla Bolesława był już lepiej przyprawiony a dla starych kawalerów dobrze osłodzony i z należytą dolewką araku. Antoni przy tym traktamencie usiadł skromnie przy oknie poprzestając na czystej herbatce; Bolesław podsunął się ku Zosi, a Mieczysław zaczął żartobliwą z Bonawenturą rozmowę, dowodząc tem jak był w wesołem usposobieniu. Klarka nie ruszyła się od pana Anzelma i jak tylko szklankę pączu wysączył, zaraz znalazła się przy nim druga zręcznie przez Franię podsunięta. To samo dostało się i panu Bonawenturze.

Po dziesiątej wreszcie goście rozeszli się do domów; pierwsze hasło do tego dał Bolesław, coraz się więcej widocznie niecierpliwiący. Klarka choć dziwiła się pośpiechowi, wdzięczną mu jednak była niewymownie. Grając tak długo komedyą z tak wielkiem natężeniem, aby wszystko tak szło jak ułożyła, aby zasłonić łachman nędzy ciągle się na widownię wymykający, czuła się niewymownie znużoną. Uśmiechała się jednak przy pożegnaniu do Anzelma, ściskając mu rękę spojrzała wymownie i szepnęła nieznacznie:

— Jakże mi czas przyjemnie zeszedł w towarzystwie pana. Ileż skorzystałam z jego pouczającej rozmowy... cała jestem przejęta, uszczęśliwiona... serce taką błogością napełnione jakiej nigdy nie zaznałam. Do widzenia mój drogi panie, oby tylko... niedługo, dodała już ciszej.

Pan Anzelm był rozpromieniony, spojrzenia Klarki przebiły go na wskroś, zalecanki przeniknęły, a pącz dokonał reszty. Przy samem wyjściu chwycił ją za rękę, pocałował i to trzy razy raz poraz. Bonawentura zobaczywszy to równym całusem obdarzył rączkę Frani dodając żartobliwie, że jako podwładny musi swego zwierzchnika naśladować.

(d. c. n.)

CZERWONY DOKTÓR.

(z opowiadań lekarza)

PRZEZ

Aldę de Gravas.

(Dalszy ciąg).

IV.

Czas który pan du Hamel zamierzał spędzić z przyjacielem, zbliżał się do końca; kilka dni minęło szybko, nie znudził się ani chwili w towarzystwie starego przyjaciela i poważnej jego córki. Podczas gdy pan Riberac odwiedzał swoich chorych, on spędzał czas w towarzystwie Ludwiki, lub podawał jej rękę i wychodzili na przechadzkę; starzec coraz lepiej mógł poznać i ocenić wielkie przymioty serca

i umysłu tej młodej dziewicy. Szczególniej chwytała go za serce bezgranicznem swojem przywiązaniem do ojca. Widocznie dla niego tylko żyła i otaczała go najczulszą pieczołowitością.

Pan du Hamel mocno był zaniepokojony o zdrowie Ludwiki, zdawało mu się że jest bardzo wątła i musi być cierpiąca, ale ilekroć przemówił coś w tym przedmiocie, panna Riberac zmieniała rozmowę lub nie odpowiadała. Parę razy spotkał ją z rana nieubraną jeszcze i uderzyła go jej bladość i chorowity wyraz twarzy, ale później, tych samych dni, miała świeże rumieńce, uśmiech igrał na ustach, i to go pocieszało, choć lękał się dowierzać tym zwodniczym może oznakom.

Rano w dzień odjazdu, poszedł zamówić miejsce w dyliżansie; gdy powrócił doktór już wyszedł, a Ludwiki jeszcze nie było w salonie. Usiadł w fotelu i mimowolnie nasunęły mu się smutne myśli, zajmujące go prawie nieustannie podczas pobytu w domu przyjaciela. Wczoraj musieli zawrócić się wyszedłszy na przechadzkę, gdyż Ludwika uczuła się bardzo osłabioną, nie pierwszy to raz zasłabła tak w jego obecności, ale zawsze wymyśliła jakąś wymówkę, podając za powód gorąco, ostre lub ciężkie powietrze.

— To nic, mówiła, jestem zupełnie zdrowa, ale nie wspominaj pan o tem przed ojcem, żeby się nie niepokoił daremnie.

Pan du Hamel czynił zadość jej woli, ale sam będąc także doktorem, z obawą i trwogą zaczął badać wątły jej organizm. Zacny starzec drżał na samą myśl iż może i Ludwika nosi w sobie zaród choroby która siostry jej wtrąciła do mogiły. Straszne to przypuszczenie zatruwało mu chwile spędzane w towarzystwie dawnego przyjaciela.

Postanowił sobie uwolnić się przed odjazdem od dręczącej go niepewności, i dla tego chciał prosić Ludwikę aby mu ufała nietylko jak przyjacielowi ale i jak doktorowi. Właśnie gdy namyślał się jakby to zrobić tak, aby pan Riberac nie wiedział o niczem i nie zaniepokoić zarazem Ludwiki, uchyliła drzwi, pytając:

— Czy to ty, Jakóbie?

— Nie, moje dziecię, to ja, rzekł przysuwając się nagle. Ludwika chciała się cofnąć, przytrzymał ją za rękę.

— Chcę pomówić z tobą zaraz, zanim ojciec nadejdzie, rzekł poważnie.

— Dobrze, przyjdę natychmiast, rzekła probując wysunąć rękę.

Starzec popatrzył na nią przenikliwie, i rzekł powoli wskazując na jej twarz.

— Czy chcesz odejść dla tego aby pokryć ślady cierpienia widniejące na twojej twarzy? To daremnie moje dziecię, ja wiem że się różujesz.

Ludwika zmieszana spuściła oczy, nie mogła, nie umiała zaprzeczyć rzeczywistości. Jedna strona jej twarzy pokryta była pięknym rumieńcem którego dotąd pan du Hamel nie śmiał podejrzywać, druga była zupełnie blada i tylko mała czerwona plama odznaczała się na niej.

— Ukarana jestem za moją nieroztropność, odrzekła z przymuszonym uśmiechem; nie powinnam była otwierać drzwi nie skończywszy malowania. Może posądzisz mnie pan o pretensyą i zolotność? Nie wiem doprawdy, cobym zrobiła, gdyby mnie tak zeszedł ktoś inny.

— Nie tłomacz się, moje dziecię, to zbyteczne; pozwól mi tylko pomówić z sobą.

— Proszę wejdź pan, rzekła posuwając mu krzesło, i obmywszy twarz mokrym ręcznikiem, usiadła obok niego.

— Ludwiko, wiesz że jestem doktorem, otóż właśnie jako doktór pragnę pomówić z tobą.

— Z jakiegoż powodu, odrzekła zmieszana, jestem zdrowa, zupełnie zdrowa... wszak ojciec mój także jest doktorem, a przecież nie wątpi o tem.

— Bo go oszukujesz, Ludwiko, ale mnie nie oszukasz. Wiem że jesteś słaba i cierpiąca, powiedz mi szczerze od jak dawna?

— Ale, upewniam pana...

— Nie zapieraj się daremnie, kochane dziecię. Widzę, jestem przekonany że jesteś mocno cierpiąca. Jakże jesteś blada bez różu, jakie sine koła bezsenność zakreśliła pod twemi oczami; puls bije prędko i nieregularnie, i chcesz wmówić we mnie że jesteś zdrowa i nie masz gorączki?

Usłyszawszy te słowa, sztuczny uśmiech uleciał z ust Ludwiki, zbladła więcej jeszcze, łzy stanęły w jej oczach.

— Prawda, przyznaję, odrzekła składając ręce, ale przez litość nie mów pan o tem ojcu.

— Bądź spokojna, odrzekł żywo wzruszony, nie chce nabawiać ojca twego śmiertelnego niepokoju, pragnę tylko abyś się leczyła zanim choroba się rozwinie.

— To też, bez wiedzy ojca radziłam się doktora i o ile w mojej mocy wypełniam jego przepisy. Dla siebie, nie lękam się śmierci, ale przeraża mnie sama myśl osierocenia ojca. Wiem że mnie jedną ma na świecie, że koniecznie jestem potrzebna do jego szczęścia, pragnęłabym więc przedłużyć moje życie; czuję jednak że jest to niepodobnem; choroba postępuje i coraz więcej odbiera mi siły... umrę jak siostry moje.

— Odegnaj podobne myśli, Ludwiko, dzięki niebu nie jest jeszcze tak źle... jesteś w wieku w którym prawie nie ma nieuleczonych chorób.

— Niestety, siostry moje poumierały nie doszedłszy lat dwudziestu!... Po co mam się łudzić daremnie. Czuję że śmierć się zbliża, i rozpacz mnie bierze na samą myśl o ojcu... On już w tak podeszłym wieku i prócz mnie nie ma nikogo!

— Nie myśl o tem, moje dziecię, podobne wzruszenia są zabijające. Stan twego zdrowia nie jest bynajmniej rozpaczliwy, bądź tylko spokojną i rozpocznij gruntowną kuracyą. Nie ukrywaj nic przedemną, powiedz co ci jest i jakie przepisywano ci środki.

Ludwika uczyniła zadość żądaniu doktora; słuchając jej, pan du Hamel nie spuszczał oczu z jej twarzy.

— Nie ma nic strasznego, ale zawsze źleś zrobiła zaprzestając się leczyć. Zostawię ci przepis co masz robić i jak się zachowywać, i zechcesz ściśle do niego się zastosować. Najwięcej obawiam się dla ciebie nadchodzącej zimnej pory; klimat tutejszy jest za ostry, trzebaby żebyś zimę spędziła w cieplejszych strefach, naprzykład w Nicei.

Ludwika spojrzała na niego aby się przekonać czy mówi seryo.

— I sądzisz pan że toby mi dało zdrowie?

— Powiedziałem ci już moje dziecię, że nie jesteś bynajmniej dotknięta nieuleczoną chorobą, i bardzo wiele osób daleko słabszych, wróciło z Nicei zupełnie zdrowe.

— Choć miały suchoty?

— Ale ty jeszcze nie masz suchot, jesteś tylko bardzo delikatna i osłabiona, a właśnie dla takich osób klimat Nicei jest nader zbawiennym.

— Nie miałabym nic przeciw jechaniu do Nicei, ale... jakże zaproponować to ojcu, nie budząc w nim niepokoju.

— Czyż nie lepiej aby się zaniepokoił trochę, niż łudzić go fałszywem bezpieczeństwem i niknąć w jego oczach.

— Gdybyś pan widział w jak gwałtowną rozpacz wprawia ojca najlżejsza moja słabość, nie mówiłbyś tego; w takich razach trzeba się obawiać żeby nie dostał obłąkania. Powierzył mnie opiece jednego ze swoich kolegów i sam nie egzaminuje mnie nigdy; lecz niech dostrzeże najlżejszy ślad osłabienia, wpada w gwałtowną rozpacz, i dla tego też ukrywam przed nim moje cierpienia. Jeżeli spostrzeże iż jestem bledszą niż zwykle, ogarnia go ogromny niepokój, i dla tego od czasu jak jestem coraz mizerniejsza, zaczęłam się różować aby to ukryć przed ojcem.

— Uwielbiam cię, biedne dziecię, ale do czegóż to może doprowadzić? Przypuszczając, co, dzięki niebu nie jest, że choroba twoja jest nieuleczona, na cóż zdałyby się podstępy do których popycha cię twoje przywiązanie do ojca? Nadeszłaby chwila w której niepodobna byłoby udawać, w której choroba przykułaby cię do łoża boleści, czyż wtedy cios nieprzewidziany nie byłby stokroć okropniejszym?

— Myślałam o tem nieraz, odrzekła i łzy w oczach jej zabłysły, i powiedziałam sobie, że skoro żadna siła ludzka nie zdołałaby uspokoić i pocieszyć mego kochanego ojca, trzebaby wtedy zdać to na łaskę Bożą... Ja tam po za grobem tak gorąco błagać będę Ojca Przedwiecznego aby się ulitował nad ojcem moim, iż wierzę że go pocieszy...

— Dajmy pokój niczem nieusprawiedliwionym przypuszczeniom, a pomówmy jakby doprowadzić do skutku wyjazd do Nicei. Zacznijmy mówić o tem przy śniadaniu, wyłom będzie zrobiony i forteca łatwiejsza do zdobycia. Wróciwszy do siebie, napiszę do ojca twego nalegając aby koniecznie przyjechał do nas z tobą, tym sposobem urzeczywistnimy nasz zamiar, nie niepokojąc go. Mamy teraz wrzesień, powinnabyś przybyć do Nicei w październiku, gdyż wtedy rozpoczyna się sezon kuracyjny. Trzeba koniecznie żebyś sprobowała tego środka, a da Bóg zupełnie przyjdziesz do siebie. Wszak zgadzasz się na mój projekt i pomożesz mi do jego wykonania?

— Dobrze, odrzekła uśmiechając się smutnie, nie mam nic przeciwko temu abym umierała w Nicei.

— Ludwiko! zawołał z wyrzutem pan du Hamel.

— Przypuszczając że przyjdę do zdrowia, panu zawdzięczać to będę, jeźli zaś umrę, mogę liczyć na to że będziesz pocieszał mego biednego ojca.

— Niestety! przed chwilą samaś powiedziała że nic pocieszyć by go nie zdołało.

— Tak, ale może choć poddałby się swemu nieszczęściu, pozostawiony sam sobie mógłby targnąć się na swoje życie. Nigdy nie zapomnę iż ojciec powiedział kiedyś do mnie: „Czuwaj nad zdrowiem swojem, moja córko, bo dla ciebie tylko mogłem przeżyć tyle boleśnych ciosów; twoja śmieć i mnieby zabiła.“ Słowa te nieustannie tkwią mi w uszach i każdą zatruwają chwilę. Ojciec mój jest najlepszy, ma najwznioślejszy, najszlachetniejszy charakter, jest nadzwyczaj miłosierny dla biednych, posiada wszystkie przymioty, brak mu tylko wiary. To zatruwało życie mojej matki, to i mnie odbiera spokój. Może być że filozofia wystarcza dla rozumu, lecz nie zaspokoi serca. Gdyby ojciec mój wierzył w życie przyszłe, w razie mojej śmierci mniej byłby nieszczęśliwym, bo wiedziałby że się połączymy w niebie, ale dziś... I dla tego wolałabym umierać w Nicei; ojciec kocha pana, wiedząc że go nieopuścisz... umierałabym spokojniejsza...

— Moje dziecię, nie mów o śmierci; bo wielką mi tem sprawiasz przykrość, w twoim wieku nie trzeba tracić nadziei odzyskania sił... Więc stanęło na tem że spędzisz zimę w Nicei, i pewny jestem że ojciec twój zgodzi się na to.

— Dowiemy się o tem niezadługo; teraz przejdź pan do salonu i nie zapominaj swego przyrzeczenia.

— Czy nie idziesz ze mną?

Spojrzała w lustro i pokazując twarz swoją odrzekła z boleśnym uśmiechem:

— Nie mogę tak wejść, zanadto jestem blada.

V.

W godzinę potem, doktór Riberac, córka jego i pan du Hamel, siedzieli przy suto zastawionym stole. Panowie prowadzili dalej rozpoczętą przed śniadaniem rozmowę, Ludwika słuchała. Nareszcie pan du Hamel zręcznie zmienił przedmiot rozmowy, zaczął mówić o Włoszech, opisał mieszkanie swoje w Nicei i w końcu zwracając się do Ludwiki, zapytał.

— Czy nie chciałabyś poznać naszej pięknej Nicei; jestem pewny że lubisz kwiaty?

— O! i bardzo, odpowiedziała; najmilszem mojem zajęciem jest hodowanie tych, które mamy w naszej małej oranżeryi.

— W oranżeryi, to niby w więzieniu, i jakież tam masz kwiaty?

— Heliotropy, geranie, pomarańczowe drzewa, kamelie i różne kwiaty, które tylko w cieplarni można hodować, odrzekła z uśmiechem.

— A zatem masz tylko rośliny wątłe i chore. Przyjedź do nas do Nicei, kochane dziecię, tam nacieszysz się kwiatami, tam prawdziwa ich ojczyzna. Najpiękniejsze kwiaty rosną dziko po polach, a co za ogrody, jak upajająca woń zapełnia powietrze!

— Słyszałem już od wielu osób że ogrody miejskie są prawdziwie czarodziejskie, rzekł pan Riberac.

— Tak jest rzeczywiście, jaśminy i fijołki całe pokrywają pola; anemony, tuberozy, wątrobniki w najrozmaitszych odcieniach, tulipany, białe, różowe, czerwone, wszelkie odmiany goździków, rosną bez uprawy. W wielu miejscach róże i granaty tworzą żywe płoty, pomarańcze i cytryny wielkich pod gołem niebem dochodzą rozmiarów. Szkoda tylko że wszystkie te piękne płody natury stały się przedmiotem handlu, i to stanowi odwrotną stronę medalu; zaledwie kwiaty rozkwitną przybywają nasi *wandale*, dostarczyciele do fabryk perfum, ścinają i niszczą wszystko.

— Biedne kwiaty! rzekła Ludwika.

— Cóż chcesz, moje dziecię, sprzedają u nas kwiaty, jak tu marchewkę, rzodkiew, melony i arbuzy; mimo to nie ma rozkoszniejszej krainy jak Nicea i bardzobym był szczęśliwy gdybyś zapragnęła ją poznać. Cóż ty na to, stary przyjacielu? A gdybyś nam ją przywiózł na zimę? Żona moja i córka przyjęłyby ją całem sercem. Przepędzicie u nas tę zimę, a będziecie patrzeć na bzy, goździki i róże, kwitnące na wolnem powietrzu. Tak lubisz róże, Ludwiko, iż dla nacieszenia się niemi, warto odbyć tę podróż. Ja byłem waszym gościem, bądźcie i wy moimi: wszak mam prawo wymagać tego?

Ludwika spojrzała na ojca.

— Widzę że opisem waszych kwiatów i pięknego nieba, rozbudziłeś w Ludwisi chęć jechania do Nicei, rzekł z uśmiechem Riberac.

— Czy to prawda Ludwiko? zawołał radośnie doktór.

— Przyznaję się do tego, odrzekła.

— O! kiedy tak, więc musicie mi przyrzec że przyjedziecie do nas na zimę.

— To już zależy od mego ojca, odrzekła, ja pojechałabym chętnie.

— Czy słyszysz, przyjacielu? No, daj słowo, rzekł, podając rękę.

— Chyba żartujesz, rzekł pan Riberac, mogęż rzucić chorych i praktykę i dla spaceru jechać do Nicei?

Pan du Hamel i Ludwika spojrzeli na siebie.

— Jest to prawie niepodobieństwem, mówił dalej pan Riberac; stary jestem i podróże bardzo mnie męczą; wdzięczny ci jestem serdecznie za zaproszenie, ale nie mogę z niego korzystać.

— A więc nie mówmy o tem, odrzekł pan du Hamel, spoglądając na zegarek. Dziesięć minut do drugiej, dodał, czas mi już iść; czy mnie odprowadzisz?

— A jakże! czy chcesz pójść z nami, Ludwiko?

— I owszem, mój ojcze.

Doktór i córka jego wyszli na chwilę; zostawszy sam, pan du Hamel wydarł kartkę z pugilaresu i napisał na niej kilka wierszy: poczem złożył, zapieczętował opłatkiem i zawołał służącego sprzątającego ze stołu.

— Słuchaj Jakóbie, rzekł, masz tu bilecik który oddasz panu, ale dopiero jak już będzie miał udać się na spoczynek; ale pamiętaj iż zakazuję ci najsurowiej doręczyć go pierwej. Czy zrozumiałeś?

— Doskonale.

— A schowaj go dobrze żeby panna Ludwika nie zobaczyła.

Jakób schował list do kieszeni i odszedł; i w tejże chwili weszli doktór i córka jego, ubrani już do wyjścia.

Wszyscy troje udali się na pocztę; dyliżans stał już zaprzężony; pan du Hamel serdecznie pożegnał się z przyjaciółmi i zajął swoje miejsce. Przez spuszczone okno jeszcze kilka słów zamienił z nimi, a gdy powóz ruszał, rzucił ostatnie spojrzenie na bladą i smutną Ludwikę, która stała wsparta na ramieniu ojca, i westchnąwszy rzekł do siebie z żalem: Biedne dziewczę!

Pan Riberac odprowadził córkę do domu, poczem pojechał na wieś odwiedzić jednego z pacyentów i wrócił bardzo późno. Ludwika, jak zwykle czekała na niego; powiedzieli sobie dobranoc i poszli do swoich pokoi. Jakób czekał w pokoju pana.

— Czy przysyłał kto po mnie podczas mojej nieobecności? zapytał doktór.

— Tak panie, pan prezes przysyłał prosić żebyś go pan odwiedził.

— Po co, już za późno, nic mu pomódz nie mogę, po cóż mam czas tracić i darmo brać pieniądze. Któż więcej?

— Ta pani co to stanęła w hotelu *Europejskim*; przyszła powiedzieć panu że syn jej daleko zdrowszy; aż płakała z radości.

— Jeźli tak, będzie zdrów; cieszy mnie to bardzo; straszna to rzecz tracić dzieci. Któż jeszcze?

— Ta biedna kobiecina co to ma jakąś narośl, zdecydowała się nareszcie na operacyą; przyszła zawiadomić pana że przyjdzie tu jutro o szóstej rano.

— To za wcześnie. Jestem dziś bardzo zmęczony drogą, kładę się późno, każesz jej poczekać do siódmej lub w pół do ósmej.

— To, proszę pana, mąż nie będzie mógł być obecny przy operacyi, gdyż musiałby chyba nie iść do fabryki, a wtedy za cóżby dzieciom jeść kupił.

— Kiedy tak to obudzisz mnie, wstanę przed szóstą i zaraz ją wprowadzisz. Nikogo więcej nie było?

— Nie, panie, tylko mam jeszcze oddać panu ten bilecik. Doktór wziął kartkę, przybliżył się do światła i zaczął czytać. Podczas czytania zmarszczki na jego czole więcej jeszcze się uwydatniły, usta zacisnęły się gwałtownie.

Czytał i odczytywał kilkakrotnie mały bilecik. Jakób patrzał na pana z przerażeniem, stał milcząc nie wiedząc co robić; nareszcie gdy doktór żadnego nie dawał mu rozkazu, ośmielił się powiedzieć:

— Już późno, może pan pozwoli się rozebrać.

Pan Riberac spojrzał na niego ponurym, prawie obłąkanym wzrokiem.

— Odejdź! rzekł krótko, jeszcze się nie położę.

— O której godzinie mam przyjść rozebrać pana? zapytał zmieszany.

Doktór milcząc wskazał mu drzwi. Gdy Jakób wyszedł, wstał i zaczął chodzić po pokoju nierównym i przyśpieszonym krokiem. Był nadzwyczaj zaniepokojony; z zaciśniętych ust jego wymykały się urywane słowa, zapewnie odnoszące się do dopiero przeczytanego bileciku.

„Widać myśl ta przyszła mu dopiero w chwili wyjazdu, i obawia się... ale czego, czego?... Mówi że to prosta ostrożność, ależ tylko zagrożeni strzedz się potrzebują... Może się myli... może?... O! pewny jestem że się myli. Zarzucił praktykę, nie poznał się.., sam nie wie co mówi. Każe mi czuwać... jeden sezon spędzony w Nicei usunie osłabienie które dostrzegł, ale które nie jest bynajmniej groźne... Ależ ja nie uważałem tego osłabienia.... może ukrywa to przedemną ale potrafię sprawdzić.“

Tak mówiąc sam z sobą, doktór chodził ciągle i tylko niekiedy zatrzymywał się przed zegarem. Coraz głębsze zalegało milczenie; wszelkie odgłosy ucichły. Gdy wybiło w pół do dwunastej, zatrzymał się, zapalił stoczek, i wychodząc rzekł sobie cicho, pewnie już śpi. Przeszedł jak mógł najciszej korytarz i zbliżył się do drzwi w głębi; już brał za klamkę i puścił ją nagle, rozpaczliwie przykładając rękę do czoła. Stał nieruchomy, drżący i blady, pod drzwiami których otworzyć nie śmiał. Cóż takiego usłyszał? Kaszel tak słaby iż musiał przyłożyć ucho do drzwi aby lepiej dosłyszeć. Napad kaszlu przeszedł prędko, godząc jakby ciężkim młotem w serce doktora i ojca, ale się nie powtarzał: wtedy otworzył drzwi tak cicho iż prawie tego słychać nie było.

Szukał spojrzeniem łóżka Ludwiki; stało w kącie pokoju; nieco dalej na kominku paliła się lampka nocna. Przez muślinowe firanki osłaniające łóżko, doktór mógł dojrzeć córkę na wpół siedzącą i wspartą o poduszki. Czy spała czy czuwała? Chcąc się o tem przekonać, wszedł na palcach do pokoju i stanął o trzy kroki od łóżka. Ludwika siedziała z czołem wspartem na dłoni, podobna do posągu rozmyślania. Choć powieki miała spuszczone, widać było że nie spała. Oddech był ciężki, a umyślnie rozpięty pod szyją kaftanik, dozwalał odgadywać ciężar przygniatający piersi.

Pan Riberac stał zapatrzony w tę śliczną bladą twarzyczkę, która przy niepewnem świetle lampki wydawała się jeszcze piękniejszą i bledszą; po kilku chwilach odszedł cichutko do drzwi, otworzył je głośno i szedł umyślnie tak aby chód jego obijał się o posadzkę.

Na odgłos otwierających się drzwi, Ludwika drgnęła i podniosła oczy. Zobaczywszy ojca, pochwyciła szybko na wpół rozłożoną chustkę od nosa leżącą na kołdrze, i odrzuciła ją w nogi łóżka; potem położyła głowę na poduszkach i patrzyła z uśmiechem na zbliżającego się doktora.

— Co jeszcze nie śpisz? rzekł, nadając twarzy wyraz spokojny.

— Tak, ojcze kochany, ale też niedawno się położyłam. Jednak czuję że powieki mi ciężą, i jeźli masz mi co do powiedzenia, ojczulku, śpiesz się proszę, bo gotowam zasnąć.

— Och! nie będę mówił długo: chciałem tylko powiedzieć iż ciągle stoi mi na myśli zaproszenie du Hamel'a. Zdaje mi się że kaszlesz trochę, Ludwiko.

— Tak, coś mnie trochę drapie w gardle, ale to chwilowe, przejdzie do jutra, odrzekła, wsuwając

się pod kołdrę i zakrywając nią usta aby stłumić kaszel od którego powstrzymać się nie mogła.

— Tak więc myśląc o naleganiu du Hamel'a, zbudziła się we mnie dawno uśpiona żądza poznania Włoch.

— Tem lepiej, odrzekła wesoło, więc pojedziemy.

— Skoro i ty tego pragniesz... tylko kiedyżbyśmy wyjechali, zdaje mi się że teraz nie jesteś zupełnie zdrowa. Daj no mi rękę.

— Nic z tego, odparła, odsuwając rękę ojca; nie jesteś przecież moim doktorem, ojczulku, i przyrzekłeś że nigdy mnie nie będziesz leczyć, niech cię więc puls mój nic nie obchodzi, pozwól mu bić jak sam chce.

— I ty myślisz iż dla tego żem stary, zdołałabyś mi wydrzeć twoją małą rączkę? Otóż widzisz żem jeszcze silny, nie puszczę.

Pochwycił rękę córki i trzymał niby silnie, ale w ten sposób iż mógł zarazem puls zbadać. Potrzymawszy tak chwilę, puścił potem, mówiąc:

— Widzisz, żem silniejszy, puszczam dobrowolnie.

— A cóż nasza podróż do Włoch? zapytała.

— Przyjdzie z pewnością do skutku.

— Kiedy?

— Wyjedziemy do Nicei za dwa dni.

To powiedziawszy nachylił się, pocałował córkę w czoło i wyszedł życząc jej dobrej nocy. Nie dostrzegła jednak iż zabrał chusteczkę od nosa, którą tak pragnęła ukryć przed nim.

Wróciwszy do swego pokoju rzucił się na fotel i powoli rozłożył chusteczkę. Ktokolwiek pojmujący miłość rodzicielską, zobaczyłby spojrzenie jakie utkwił w tym kawałku batystu krwią pocentkowanym, zapłakałby nad nim.

Chusteczka wypadła z drżących rąk jego; chwycił się za głowę jakby tem ściśnięciem chciał zgnieść myśl straszną jaka w niej powstała; dwie wielkie łzy stoczyły się po zapadłych i pomarszczonych policzkach, zaciśnięte usta rozwarły się przepuszczając wyraz wydzierający się z serca, raczej jak jęk i wyrażenie bezmiernej rozpaczy, niżli jak złorzeczenie: „Przekleństwo!“

(d. c. n).

Ze świata naukowego.

Wyspa Madagaskar. — Dzieło p. Grandidier. — Prawodawstwo Malgassów. — Związki małżeńskie. — Prace p. Dehérain. — Skutki wyniszczenia lasów.

Wyspa Madagaskar jest dotąd i zapewne pozostanie długo jeszcze, miejscem na kuli ziemskiej najbardziej pociągającem dla geografów i badaczów natury. Mieszkańcy jej tak różni pod względem etnograficznym od rasy murzyńskiej, jej zabytki paleontologiczne, królestwo zwierzęce jej tylko właściwe, bogactwa mineralne, roślinność w najwyższym stopniu wybujała, charakter ludności i rząd kraju, wszystko zarówno jest ciekawe a dotąd zbyt mało znane, gdyż oprócz skróconych opowiadań kilku podróżników, którzy zaledwie brzegi wyspy zwiedzili, albo niewiele wartych kompilacyi, nic poważniejszego, prawdziwie naukowego i wiarogodnego o tej wyspie nie mamy. Dopiero teraz p. Alfred Grandidier przygotowuje do druku dzieło niezmiernie ważne, które obejmuje geografią, historyą naturalną i nawet historyą Madagaskaru. Do niego dołączony będzie atlas na szczególną uwagę zasługujący pod względem wykończenia i obszerności, zawierający wszystko co do fauny, flory, mineralogii i etnografii się odnosi, oraz seryą fac-similów zdjętych przez p. N. Pilińskiego. Z tego dzieła przytaczamy w skróceniu parę wyjątków z pomiędzy wielu jakie naukowe pismo francuzkie *La Nature* podaje.

Teraźniejsza królowa Ranavalo-Manjaka, poczęła swoje panowanie od zniesienia niewolnictwa. Prawo to usamowalniające 3,000,000 ludzi, było czytane o jednej godzinie we wszystkich wioskach i miasteczkach, a w Antanarywie, stolicy wyspy, z wielką uroczystością i okazałością ogłoszone. Jednocześnie wyszło prawo przeciw pijaństwu, mające na celu powstrzymanie nałogu okropnie grasującego pomiędzy Malgassami. Oto jest dosłowne tłomaczenie tego edyktu: Ja, Ranawalo-Manjaka, z Bożej łaski i woli mego narodu królowa Madagaskaru, opiekunka praw mego królestwa, mówię wam co następuje: Bóg mi dał ten kraj, to państwo, i już pod względem napoju nazwanego rumem, rozporządziłam się ażeby go nie sprzedawano w Antanarywie i w prowincyi Imerina. Przypominam wam że rum szkodzi waszym osobom, rozprasza wasze mienie, wasze żony i dzieci do nędzy doprowadza. rozumnych czyni waryatami, a waryatów do większego wiedzie szaleństwa, namawia do nieposłuszeństwa prawom królestwa i czyni was występnymi przeciw Bogu. To wszystko dowodzi iż rum jest zanadto złą rzeczą ażeby jej używać miano w Antanarywie. Kiedy go pijecie, chwytacie za kije do rąk i bijecie się między sobą, albo ciskacie na siebie kamieniami. A więc dla czegóż, o mój narodzie, tak bardzo lubisz ten napój? A ja wam mówię, o moi poddani, że jestem szczęśliwą gdy widzę was sprzedających lub kupujących rzeczy użyteczne. Ale wam mówię: że kto będzie sprzedawał albo kupował rum, będzie winnym w obec prawa, a ja nie zawaham się nigdy wykonać prawo gdy ono jest z waszem dobrem. A więc mówię wam jeszcze: Kto naruszy moje prawo będzie ukarany!“

Pomimo jednak tego mądrego prawa, kodeks Malgassów jest chaotyczną mieszaniną przepisów arcyniemoralnych, często śmiesznych i zabobonnych, będących odbiciem charakteru i obyczajów ludu, chociaż gdzieniegdzie przebijają się postanowienia moralnością i mądrością nacechowane.

Weźmy naprzykład kilka praw bardzo treściwie sformułowanych:

„Za noszenie broni ukrytej pod suknią zaznacza się kara śmierci.

Jeżeli oddasz dzieciom swoim część swego majątku, a później będziesz z nich niezadowolniony, masz prawo go odebrać a nawet wyrzec się ich.

Kto będzie w posiadaniu lekarstw nie pochodzących od jego przodków, powinien je wyrzucić, jeśli nie chce być karany.

Każdy człowiek bezżenny jest małoletnim.

Kodeks kończy się następnemi słowami: „Kto naruszy mój kodeks będzie znaczony na czole, nie będzie mógł nosić długich włosów, ani żadnego odzienia świeżo wypranego, ani włożyć kapelusza na głowę.“

Malgassi wcale tak dzikimi nie są jak niektórzy podróżnicy ich wyobrażali, przeciwnie, z usposobienia są łagodni, gościnni i usłużni, pełni uszanowania i pokory dla człowieka białego, *visa*, którego wyższość uznają. Główną charakterystykę ich stanowi dziwna lekkość i zmienność, a szczególnie niestałość w stosunkach małżeńskich, na co zresztą i prawo pozwala, oraz zupełnie dziecinne pojmowanie obowiązków, o czem najlepsze da pojęcie następne zdarzenie.

Mała kolonia francuzka Sainte-Marie, zaludnioną jest przez Malgassów. Ojcowie Lazaryści mają tam swój zakład, kościołek i szkołę. Propaganda idzie bardzo pomyślnie. niedawno zapragnęli uregulować i związki małżeńskie, uświęcając je ślubem religijnym. Nie bez trudności zebrali dwadzieścia par, które zachęcone namową i drobnemi podarunkami, zdecydowały się na przyjęcie sakramentu. Odbył się tedy uroczyście ślub tych dwudziestu par, przy stosownem tłomaczeniu ważności i znaczenia tego obrzędu przez samego ojca przełożonego.

Po upływie osiemnastu miesięcy młodzi małżonkowie, znowu namówieni i w nadziei otrzymania nowych podarunków, zjawili się do kościoła prosząc o chrzest dla swych dzieci. Przełożony bardzo uradowany, już miał winszować i dziękować swym neofitom za przykładną gorliwość, gdy spostrzegł, o zgrozo! że pary przynoszące dzieci nie były te które połączył.

— Ależ to nie twoja żona! rzekł do pierwszego, i ta nie twoja! i ta nie twoja! dodał przypatrując się innym parom. Boże wielki! Co to się stało?

— Ojcze wielebny, odpowiedział dobrodusznie pierwszy, tamta mnie nudziła, wolałem wziąść tę.

Wszyscy ci biedacy zamiany między sobą porobili.

Ileż podobnych niepowodzeń zdarza się poczciwym misyonarzom którzy pracują wytrwale nad wykorzenieniem odwiecznych niemoralnych zwyczajów, u tych barbarzyńskich plemion o dzikich i dziecinnych pojęciach.

Niektóre okolice i kraje które w starożytności słynęły z niezmiernej urodzajności swych gruntów, oraz wielkiej ilości mieszkańców, obecnie przedstawiają się po części jako mało zaludnione pustynie, niewiele lub też nic zgoła nie produkujące. Za takie głównie uważać należy Sycylią, Grecyą, północną Afrykę, Azyą Mniejszą, Judeę, Persyą, Assyryą i Babylonią. Jeden z teraźniejszych uczonych, który wszelkie gatunki ziemi rodzajnej badał najskrupulatniej, wszelkie jej części składowe i wpływy na nią działające, p. Dehérain dowodzi bardzo wyraźnie, że przyczyną tego nic innego nie jest jak tylko zmniejszenie się w tych miejscowościach ilości deszczów, a ztąd opadnięcie wód, wyschnięcie rzek które dawniej wielkiemi były i po części szeroko rozlewały. Bez obfitej wilgoci w powietrzu i ziemi, nie może być bujnej roślinności, rolnictwo zatem upada, zmniejsza się ilość zboża, ludziom ubywa pożywienia, mieszkańcy wynoszą się powoli, okolica staje się pustynią.

W prostym stosunku z wyniszczaniem lasów leży zmniejszanie się deszczów. Wszystkie miejscowości które człowiek po raz pierwszy w posiadanie swoje obejmuje pokryte są lasami; miejsca zaś od dawna zaludnione albo zbyt mało lub też zgoła ich nie mają. Gdy człowiek osiada na ziemi dziewiczej, pracę swoją rozpoczyna od wytrzebiania lasów, aby zyskać grunt na którym sieje zboże, główne jego pożywienie i przemysł stanowiące. Ta praca jest pożyteczną dopóki nie przechodzi pewnych granic, dopóki nie narusza koniecznej w naturze równowagi, bo z wyniszczeniem lasów zmieniają się warunki klimatyczne, wilgoć w powietrzu się zmniejsza, deszcze padają coraz rzadziej, grunt coraz bardziej staje się nieurodzajnym.

Wśród wielu przyczyn które w podrzędniejszy sposób na wyniszczenie lasów działają, wymienić należy jeszcze wypasanie po lasach inwentarza i hodowanie niektórych jego gatunków. Przykłady najlepszą naukę stanowią. Wyspa Ś-tej Heleny była niegdyś pokryta przepysznemi lasami, obecnie jest to pusta i naga, nieurodzajna skała. Jednemu z gubernatorów tamtejszych przyszła nieszczęśliwa myśl sprowadzenia na wyspę trzody kóz. Rozmnożyły

się szybko, lecz za to w lat niewiele cała roślinność wyspy wyginęła. Kilka prowincyi w Hiszpanii podobnie smutny przykład przedstawia.

O jakże baczną uwagę gospodarze nasi na lasy swoje zwrócić powinni, które w małej już niestety są ilości i z dniem każdym nikną coraz bardziej. O jakże je pielęgnować i rozmnażać należy! Żadne nawozy nie są w stanie zastąpić wilgoci atmosferycznej, a ta zmniejsza się w prostym stosunku z ubywaniem lasów, zaczem w ślad idzie zmniejszanie się urodzajności ziemi, w końcu zupełne jej wyjałowienie i zdziczenie, jak to tyle wymownych przykładów zbyt jasno wykazuje.

H. K.

OBRAZY
na Wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych
W WARSZAWIE.

Bracia Rozbójnicy pana Ignacego Jasińskiego, jest to przedmiot wzięty z poematu Puszkina, z opowiadania zbójcy o widzeniach gorączkowych, jakie w więzieniu trapiły każdej nocy jego młodszego brata. Cienie ofiar dawniej zamordowanych, przesuwały się w jego wyobraźni, i zrywał się błagając o litość dla nich, trwożąc się widziadłami, które mu sumienie przywodziło przed oczy. Postacie dwóch zbójców nakreślone bardzo dobrze, choć w owym bracie starszym, zgodnie z myślą autora poematu, chcielibyśmy widzieć więcej współczucia dla jedynej istoty którą kochało jego zbrodnicze serce, to jest właśnie dla tego brata chorego i dręczonego widzeniami. Światło księżyca wdzierające się przez okienko więzienne, owe mgliste majaczące w cieniu widma pomordowanych oddane umiejętnie sprawiają istotne wrażenie.

Lata terminatorskie p. Stretta Franciszka, ukazują nam pełną prawdy życiowej chwilę z życia biednego szewczyka. Siedzi on kołysząc nogą kolebkę malca, ale drzemie nieborak, choć malec się rozkrzyczał, i tylko w skrzywionej przez sen fizyognomii znać, że nieprzyjemny obowiązek dolega mu nawet w sennych marzeniach. Szczegóły izby opracowane starannie, nie brakuje tam żadnego z niezbędnych przyborów gospodarstwa pani majstrowej, ani karafki, ani flaszki z wódką, ani podejrzanej świeżości spódniczki zawieszonej na gwoździu, ani nawet fajeczki, którą palić ukradkiem dopuszczał się terminator, właśnie w chwili gdy Morfeusz mu ją niedyskretnie z ust wytrącił. W ogóle, prawda i humor tchną z tego obrazka.

Śmieszny konkurent Mireckiego Kazimierza, wyobrażony jest w postaci opasłego, w francuzkim stroju jegomości, wprowadzonego do komnaty, kędy gronko panien i podeszła niewiasta przy kołowrotku otacza wystrojoną panienkę, zaszczyconą owemi zaloty. Musi to być dygnitarz nielada! Panna dyga mu uprzejmie, ależ zabawny, łysy, pękaty, i panienki duszą się od śmiechu na jego widok. Nie w porę on się wybrał w konkury, nawet owa stateczna niewiasta, spogląda nań, jakby mu to chciała dać poznać, że „zapóźno po śmierci wędrować“ a z łysiną i zmarszczkami przybywać w zaloty.

Gra w scyzoryk p. Papieskiego Zygmunta. Pod murem, w półcieniu studenciki bawią się w znaną grę scyzoryka. Twarzyczki malców ożywione, a całość ma cechę opracowania szczegółów i światła, właściwą znać utworom p. P. stanowiącą nawet pewien rodzaj jego maniery, ale która jak dotąd służy mu szczęśliwie, byleby nie zechciał jej zużyć do monotonii.

Staruszka układająca bukiet p. Kotsisa. Na tle półciemnej wiejskiej chatki, staruszka wiąże równiankę z kwiecia. Przedmiot pełen prostoty, ale ileż wdzięku w wykonaniu! Lice wieśniaczki takie łagodne, jej starość taka szanowna, a kwiecie to tak wielką stanowi sprzeczność świeżością swą z jej wiekiem. Zadumała się uśmiechnięta, może do wspomnień przeszłości, gdy wieńce z kwiecia nosić jej jeszcze przystało... gdy hożej dziewoi kosy zawsze kwiecie stroiło... Teraz już niedługo mogiłę jej niem przystroją, lecz wspomnienia z wonią i barwą kwiatów stanęły jej tak żywo przed oczami, wije więc ów bukiet, drżące dłonie przebierają w kwiatach, a myśl igra pośród owych uwiędłych kwiatów szczęścia i młodości.

Astra pana Maleszewskiego, jest dalszym ciągiem alegoryi niewieścich postaci w zastosowaniu do wdzięcznych cór Flory. Mieliśmy już Różę i Fuksyę dwa pełne uroku wiosennego utwory, teraz dano nam jesienną *Astrę*. Alegorya tu wyraźna. Piękna istota, gwiazdą wdzięków zwana, dosięgnęła pory, w której jesień życia się rozpoczyna. Więc stroi się powabnie, więc wejrzeniem niegdyś niezwyciężonem wyzywa hołdy i snuje obietnice, lecz... nieubłagane prawo natury, wnet szronem siwizny te krucze sploty przyprószy, i mrozem zmarszczek zwarzy ową zachwycającą gładkość lica... Biedna astra!

Krajobrazów jest kilka; pierwsze w nich miejsce zajmuje niewątpliwie, pana Brochockiego.

Krajobraz jesienny mgłą i szronem przyćmiony, smętny, ponury, ale poetyczny niezmiernie, z natury pochwycony a odczuty głęboko.

Powódź na wiosnę p. Wastkowskiego, przedstawia nędzę wieśniaczej na wpół rozwalonej chatki, której mieszkańcy na łodzi ratują swoją *chudobę* zagrożoną zniszczeniem. Niebo pogodne, wiosna w rozkwicie, ale szeroko rozlane wody Bugu dotknęły klęską, a biedna rodzina jak rozbitki na pustym lądzie musi tymczasowo zakładać swoją siedzibę.

Niewieściego pędzla p. Saxe Julii dwa krajobrazy wcale ładne; studya zaś ołówkowe panny Wisłockiej wróżą niepośledni talent początkującej artystki.

M.

Nowe wydawnictwa.

Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie, wyszły następujące dzieła:

1. **Fotografie społeczne** zebrane przez autora kłopotów starego komendanta w trzech tomach, mieszczących w sobie dziewięć opowiadań z wybornym napisanych humorem. Pan Wilczyński, ów autor kłopotów starego komendanta, z pierwszemi pracami z jakiemi wystąpił pod tym tytułem, odrazu zwrócił na siebie uwagę powszechną. Po długich latach milczenia, niezbyt dawno utalentowany ten humorysta zabrał się na nowo do pracy i oto dał nam zbiorek trzechtomowy swoich pełnych życia utworów. Cena jego wynosi rs. 3. 60.

2. **Pamiętniki Jana Chryzostoma z Gosławic Paska** z czasów panowania Jana Kazimierza, Michała Korybuta i Jana III od roku 1656 do 1688. Znane i cenione powszechnie tem się głównie wyróżniają od innych wydawnictw, że je przejrzał i opatrzył wstępem i spisem rzeczy D-r Zygmunt Węclewski, co znacznie wartość ich powiększyło. Była to praca bardzo potrzebna i niezmiernie mozolna dokonał jej z wszelką starannością Szanowny Profesor i w spisie rzeczy nietylko pomieścił najbardziej szczegółowe wypadki w pamiętniku pomieszczone, ale objaśnił je nic nie pozostawiając domysłowi, wywodami ściśle historycznemi. Cena rs. 1. kop. 60.

3. **Jan z Tenczyna** powieść historyczna przez J. U. Niemcewicza. Dawna to praca i słusznie kiedyś bardzo ceniona, szczególniej zaleca się malowniczością obrazowania i tem poczciwem przywiązaniem do progów ojczystych, w każdem zacnem sercu obudzającem wielkie poszanowanie. Rzecz cała dzieje się za czasów Zygmunta Augusta ostatniego potomka męzkiego świetnej Jagiellonów epoki. Cena rs. 1. ko. 20.

Obrazki geograficzne napisane przez Lucyana Tatomira z 23-a ilustracyami staraniem Towarzystwa pedagogicznego we Lwowie a wydane nakładem Karola Wilda. Złożona z zajmujących opowiadań wędrownika po całej kuli ziemskiej, który i wiele widział i niemniej wiele nauczył się i umie to wszystko opowiedzieć, stanowi bardzo użyteczną pracę szczególniej dla młodzieży już z więcej rozwiniętym umysłem. Obrazki te, jak się wyraża sam Autor, są urywkiem szeroko zakreślonego planu, przedstawienia w podobny sposób całej fizycznej geografii. Wykonanie go wielce byłoby pożądane. Cena rs. 1 k. 80.

Z drukarni Jana Noskowskiego wyszły dwa zeszyty dziełka p. t. Praktyczny Kucharz Warszawski zawierający 1,500 różnych potraw oraz przepisy przyrządzania zapasów śpiżarnianych i pieczenia ciast. Skład główny w księgarni B. Cassiusa ulica Miodowa N. 14. Cena całego dzieła rs. 1.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu Cezaremu J. w Małych Jurczykach. Listu w roku zeszłym nie odebraliśmy, początki drukujących się obecnie powieści przesłane zostały. Adres Biblioteki Romansów i Powieści: ulica Ś-to Krzyzka Nr. 17.

Opis ryciny kolorowej.

Fig. 1. Ubranie balowe. Draperya złożona w poprzeczne fałdy z prostego bryta, i szeroki skos przemarszczony środkiem który zakończa przybranie sukni, są z tarlatanu przerabianego srebrem, suknia zaś i plisowanie zdobiące bryt tylny są z gładkiego tarlatanu. Róże, niezapominajki i liście bronzowane lekko srebrzone stanowią przystrojenie.

Fig. 2. Ubranie wizytowe. Suknia princesse z aksamitu caroubier i blado różowej materyi faille. Gładkie bryty trenu przybrane są dwoma skośnemi falbankami, dwoma bufkami i wysiepanem plisowaniem na nagłówek; z przodu dana suta riusza i szeroka frendzla siepana z materyi faille wziętej we czworo, przyszyta pod bufką jedwabną. Frendzla i bufka dana skośnie na przednim brycie i przy wykroju sukni. Kokardy z aksamitu. We włosach złoty grzebień z koralami.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 2 (14) Февраля 1878 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 6.

(Dokończenie).

N. 18. Ubranie strojne dla starszej mężatki.

Suknia z czarnego atlasu, z draperyą nakształt tuniki i ze stanikiem z baskiną, skośno zapinanym, przybrana jest czarną gipiurową koronką i galonami przerabianemi złotem i srebrem. Kołnierzyk i mankiety z prawdziwej koronki. Na głowie białe strusie pióro przypięte brylantową agrafką.

N. 20. Szalik do zarzucenia przy wejściu na bal.

Lekkie okrycie stanowi długi szalik z gazy jedwabnej lub grenadyny oszyty kolorowym jedwabnym szlakiem i takąż frendzlą.

N. 21. Suknia princesse zapinana z tyłu.

Materya zielona koloru wody morskiej, biały w srebrne nitki tarlatan i illuzya składają materyał na ubranie wieczorowe przedstawione na ryc. 21, dopełnione do wejścia na wieczór okryciem z białego kaszmiru, oszytem puszkiem (formą załączoną przy ryc. 10).

Wykończenie i przybranie sukni jest w świeżym guście: na sukni princesse widzimy jakby rodzaj niezmiernie długiego kirasa, otwartego z przodu, którego plecy przykrojone są w jednym ciągu z długiemi brytami, tworzącemi tren zwierzchni, spiętemi z tyłu wielką kokardą. Przód sukni od stanika do przybrania dolnego jest gładki z materyi faille; dolne przybranie składają jakby zęby tarlatanowe ogarnirowane riuszą, spadające na naszycie z wąziutkich illuzyjowych falbanek. Oszycie brzegów s t a n i k a wskazuje ryc. 21.

N. 22. Suknia princesse z materyi faille w paski i dolman. Wskazanie kroju na arkuszu N. VI, Fig. 26.

Jak to widzimy na rycinie 22 tylne bryty princesse, zręcznie spływające w trenie, są z materyi faille w jasne i ciemne niebieskie paski, kliny boczne, przybranie dolne i rękawy są z gładkiej bladoniebieskiej materyi. Przybranie dolne składa się z falbany 22 cent. szerokiej, ułożonej w kontrafałdy obrąbionej na wierzch i z bufy 9 cent. szerokiej z wałkiem 6 cent. wysokim. Przód sukni może być przybrany w tenże sam sposób, jak na ryc. 14. Zmniejszony format kroju ułatwia odrobienie tej sukni; tylne bryty zszyte są z sobą skośnie, co ładnie się odznacza przez schodzenie się w ząb pasków w tle materyi. Elegancki dolman z białej materyi, bogato haftowany białym jedwabiem, oszyty puszkiem łabędzim, stanowi okrycie do wejścia.

N. 23 i 24. Kołnierzyki wykładane płócienne. Krój na arkuszu N. XII, Fig. 54—57.

Obydwie formy kołnierzyków z cienkiego płótna, ostębnowanych w około brzegów, odpowiednie są zarówno do sukien z podłużnym lub kwadratowym wykrojem stanika. Fig. 56 daje krój kołnierzyka ryc. 23, Fig. 57 formę kołnierza przedłużonego z przodu, z tyłu formą marynarską. Szmizetki krają się podług Fig. 54—55, zwracając uwagę na odmienny wykrój pod szyją, który do Fig. 56 oznaczony jest linią od *m—p*, a do Fig. 57 linia kropkowana od *m* do *q*. Kołnierzyk ryc. 23 ma odpowiednio do kwadratowego wykroju sukni dodany na szmizetce napierśnik płócienny, który trzeba stosować podług sukni. Zapięcia dopełniają dwie okrągłe emaljowane zapinki.

N. 25—26. Chusteczka włóczkowa, robiona szydełkiem.

Tło chusteczki z cieniutkiej jedwabnistej włóczki, robi się w zwykły znany sposób szydełkiem, zaczynając od środka i przybierając na rogach; ząbki liczą po 3 o. pow. i zajmują się w środek ząbków, poprzedzającego rzędu; wielkość chustki jest dowolna stosownie do tego czy ma służyć na głowę lub na szyję. Przedstawiona na ryc. 25 chustka liczyła bez koronki brzeżnej 45 cent. w kwadrat. Koronkę otaczającą brzegi chusteczki podaliśmy w naturalnej wielkości na ryc. 25; składa się z ośmiu rzędów roboty, zawierających naprzemian oczka pow. i sł., których liczbę łatwo obliczyć z dokładnej ryciny.

N. 27—28. Majtki ze stanikiem. Krój na arkuszu N. X, Fig. 49-A—50-a.

Na rycinie 27 i 28 przedstawiliśmy model pochodzący z pierwszorzędnego magazynu bielizny, niezmiernie praktyczny pod noszone obecnie obcisłe suknie. W Paryżu takie majtki ze stanikiem nazywają *chemisse pantalon*, nie mają one jednak zastępować bynajmniej koszuli, lecz tylko staniki jakie zwykle kładą się na gorset, szczególniej pod lżejsze suknie. Fig. 49-A—50 podają krój w naturalnej wielkości; złożenie z sobą Fig. 49-A i 49-B, które dla braku miejsca rozdzielone są linią przecinającą, objaśnia Fig. 49; wzdłuż linii przecinającej od dwukropka do gwiazdki, materyał powinien być złożony prosto. Po ukończeniu szwów dopasowanych podług odpowiednich liter, dają się zaszewki w staniku, następnie zaś górny brzeg w tyl nej połowie majtek (Fig. 49-B) marszczy się drobno od g—k i zszywa z dolnym brzegiem pleców stanika; szew ten przykrywa listewka 2 cent. szeroka. Przednie brzegi stanika i majtek podszyte są listewką $2^{1}/_{2}$ cent. Majtki przedstawione na Fig. 27 zdobią zakładki i falbanka haftowana; przy wykroju stanika nawleczona tasiemka do przyciągnięcia.

Ryciny 27 i 28 w N-rze 5 załączają dwa wzory oszycia do majtek.

N. 29. Majtki trykotowe z wyciętym stanikiem.

Z miękkiego, wełnianego trykotowego materyału odrobione majtki wraz z wyciętym stanikiem, są bardzo praktyczne w noszeniu i polecamy je czytelniczkom w porze karnawałowej pod lekkie ubrania. Materyał trykotowy ustępuje się i rozciąga odpowiednio do figury a ponieważ jest cienki więc nie zrobi różnicy włożony nawet pod bardzo obcisłe suknie. Majtki takie ze stanikiem można także uszyć z cienkiej flaneli podług kroju załączonego przy ryc. 27—28.

N. 30—31. Sukieneczka dla małego chłopczyka. Krój na arkuszu N. V, Fig 20—25.

Ryciny 30—31 przedstawiają przód i plecy sukienki, z odmiennych materyałów, której krój załącza Fig. 20—25. Fig. 20 daje przód wraz z całym napierśnikiem, który przy sukience z materyału deseniowego, dodany jest z materyału gładkiego np. z aksamitu. Zapięcie urządzone jest z lewej strony: guziki przyszywa się do napierśnika a dziurki obrabia w przodzie sukienki, z prawej zaś strony są one tylko odznaczone. Plecy (Fig. 22) dopełnione są częścią fałdowaną 26 cent. długą a 60 szeroką, na którą zachodzą boczki wycięte w zęby; dwa wyższe spięte są patkami podług Fig. 23 — niższa patka musi być trochę dłuższa. Na ryc. 30 widzimy sukienkę z materyału w kratki z napierśnikiem rękawami i patkami przy kieszeniach z aksamitu. Guziczki metalowe.

N. 32—33. Szlaczki wyszyte krzyżykami.

N. 34—35. Pas do przypinania spódniczki. Robota na drutach.

Materyał: włóczka kolorowa; druty (po cztery lub pięć) czworakiej grubości; taśma 3 cent. szeroka; guziki niezbyt małe.

Teraz gdy szczupłość i obcisłość w ubraniu jest zadaniem mody — wszystkie składowe części toalety muszą się do tego stosować. Na ryc. 34—35 podajemy wzór pasa włóczkowego, który obciskając gładko figurę i sięgając aż za biodra, nie pogrubia a dodaje wiele ciepła, niżej zaś do niego przypina się spódniczkę flanelową uszytą zupełnie gładko, bez żadnej fałdy.

Pas ten robiony jest bez gubienia lub przybierania, tam i napowrót na drutach coraz to grubszych; zaczyna się na najcieńszych drutach od 198 oczek i przerabia zmieniając druty 90 rzędów które stanowią wzdłuż 25 cent.; pierwsze 10 i ostatnie 10 oczek z prawego brzegu gładko, z lewego kręto, zaś w całym pasie naprzemian 2 o. gł., 2 kr. Po zrobieniu pierwszych 15 rzędów bierze się drugie druty, trochę grubsze, następnie po 20 rzędach trzecie, a po przerobieniu 25 rzędów, czwarte najgrubsze druty, na których pas się kończy. Górny brzeg pasa wszyty jest w taśmę odpowiednią do figury, od spodu zaś w równych odstępach , podszyte są taśmy po 22 cent. długie, na końcach których zwierzchu pas przyszyte guziki do przypinania spódniczki.



N. 1—2. Ubranie wizytowe i wieczorowe.

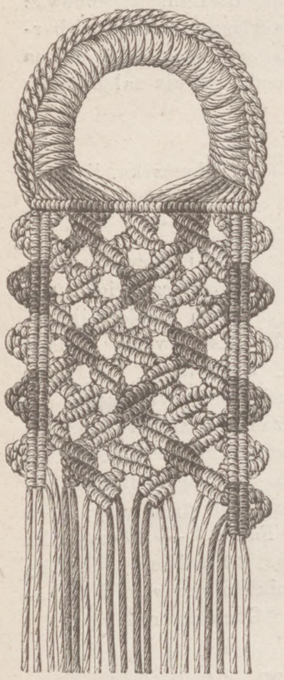
Opis do N. 7.

N. 1—2. Ubranie wizytowe lub wieczorowe.

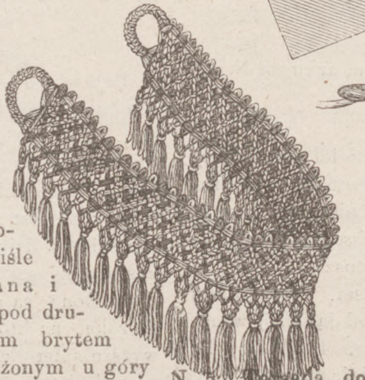
Ryciny 1 i 2 przedstawiają strojne ubranie które z małemi odmianami służyć może jako wieczorowe. Tunika wszyta w pasek razem z suknią jest z każdego boku inaczej upięta; tylne jej bryty spadające aż na tren, złączone są pod naszyciem z koronki fałdowanej wachlarzowo. Jeden bryt złożony u góry w kontrafałdę (patrz ryc. 2) i przyszyty do paska od sukni, jest w połowie długości przemarszczony poprzecznie i podpięty w bufę; do tego bryta przyszywa się gładko krótki brycik przedni i boczny wraz ze zwierzchnią draperyą która z jednego boku jest ściśle zfałdowana i przyszyta pod drugim tylnym brytem tuniki, złożonym u góry w płaskie fałdki, z drugiego boku draperya spuszczona jest gładko. Długi kirasowy stanik jest do ubrania wizytowego tylko podłużnie z przodu wycięty, z rękawkami półdługiemi, zaś do wieczorowego ma wykrój okrągły odpowiednio do dzisiejszej mody wysoko zachodzący na ramiona i prawie pozbawiony rękawków. Rycina 1 przedstawia strojną suknię na zebrania wieczorne, odszytą z czarnej adamaszkowej materyi i zdobną czarną koronką Chantilly i czarnemi, złotem przerabianemi galonami. Na ryc. 2 widzimy suknię wieczorową z materyi faille złotawego koloru, przybraną wszywką i koronką duchesse i wstążką atłasową.



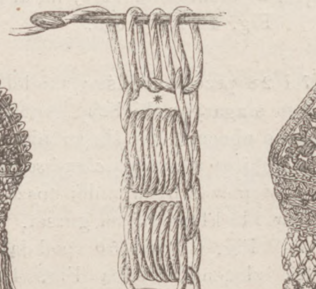
N. 3—4. Kartki z zasuszonemi kwiatami do pamiętnika.



N. 6. Wykonanie torsady wiązanej (macramé) do ryc. 5.



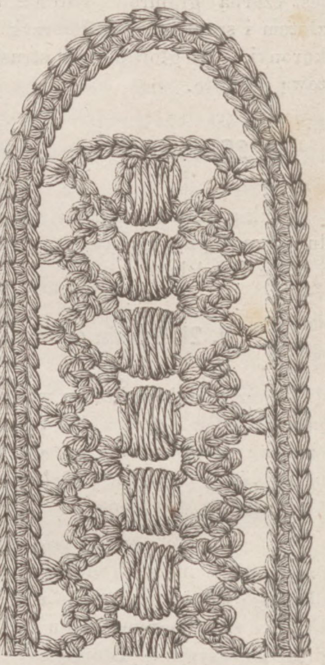
N. 5. Torsada do spięcia firanek Patrz ryc. 6. Robota wiązana macramé.



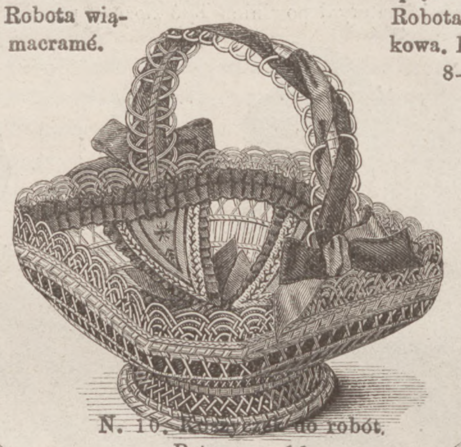
N. 9. Wykonanie środkowego paska muszek do ryc. 8.



N. 7. Torsada do spięcia firanki. Robota szydełkowa. Patrz ryc. 8—9.



N. 8. Robota szydełkowa do ryc. 7. Patrz ryc. 9.



N. 10. Koszyczek do robót. Patrz ryc. 11.

N. 3—4. Kartki z zasuszonemi kwiatami do albumu.

Dla osób ceniących wspomnienia i lubiących pamiątki przeszłości nieraz bardzo miłym jest zasuszony kwiatek, zerwany w uroczej miejscowości, na przyjemnej, pamiętnej przechadzce lub w podróży. Dla takich właśnie podajemy dziś parę wzorów w jaki sposób najlepiej przechować delikatne, kruszące się kwiateczki, drobne roślinki lub listki zasuszone, i umieścić je w albumie lub w tece przeznaczonej na rysunki i widoki. Bierze się w tym celu równe kartki brystolu i na nich odpowiednio do gustu układa bukiety, girlandki lub gałązki z zasuszonych kwiatków od spodu powleczonych gumą, albo też mając widoki z różnych poznanych miejscowości dodaje w około ramkę z kwiatków tam zerwanych. Rycina 3 i 4 przedstawiają oba takie układy.

N. 5—9. Torsady do spięcia firanek.

N. 5—6. Torsada robotą wiązaną (macramé). Już od lat paru podajemy wzory roboty wiązanej i sposób jej wykonania, ale żaden opis nie może tu wystarczyć lecz trzeba uczyć się wiązania i nabrać niezbędnej do tego wprawy; dla tego też wielu czytelniczkom które kiedy niekiedy probują wiązać torsadę lub frendzlę macramé przedstawioną na rycinie, zupełnie się ta robota nieudaje. Nadmieniamy więc tylko dla specyalistek że torsada przedstawiona na ryc. 6 w naturalnej wielkości, wiąże się z 12 nitek z których 8 jest białych a 4 ponsowe.

N. 7—9. Torsada robiona szydełkiem, zakończona frendzlą z kulek.

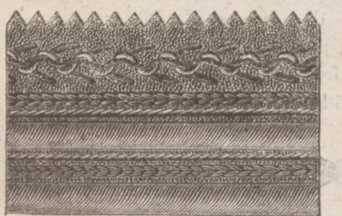
Robotę zaczyna się od środkowego pasa muszek, który wykończa się oddzielnie podług ryc. 9. Każda muszka składa się z jednego oczka i z czterech pentelek zarzuconych w to oczko, zatrzymanych na szydełku i zebranych jednem oczkiem łańcuszkowem, poczem przerabia się jeszcze 1 o. pow., które włącza się do następnej muszki. Obrobienie szydełkowe otaczające pas środkowy, wskazuje rycina 8, przedstawiająca robotę w naturalnej wielkości. Frendzla z kulek z nagłówkiem siatkowym zwężonym w końcach zakończa to przewiązanie do firanki; siatkę robi się na linijce szersze w jednym końcu (2 cent.) a węższe w drugim (1/2 szerokiej) zaczynając od środka do końca w jedną stronę poczem linijka się wysuwa odwraca i dorabia ię w drugiej połowie.



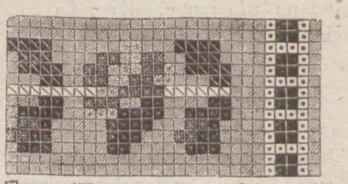
N. 12. Koronka do chusteczek od nosa wywodzona na tiulu.

N. 10—11. Koszyczek do robót.

Delikatnie pleciony z cieniutkiej białej trzcinki, kwadratowy koszyczek, ozdobiony jest wewnątrz czterema atłasowemi zębami złączonemi z sobą na środku denka. Każdy ząb trójkąta 11 cent. długiego a 9 szerokiego, z różowego atłasu, jest z boków oszyty falbaneczką z wstążki różowej i niebieskiej naprzemian, której przyszycie przysłania szlaczek podany na ryc. 11, wyszyty jedwabiem różowym i niebieskim i sznureczkiem złotym. Riusza atłasowa i przewleczenie wstążki różowej i niebieskiej przez



N. 11. Szlaczek do ryc. 10.



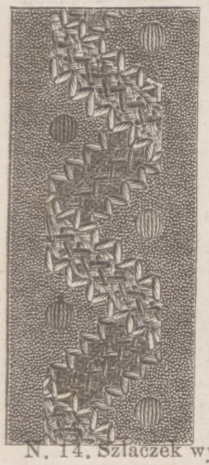
N. 13. Deseń do roboty szydełkowej ryc. 21.

pałączek i takież kokardy dopełniają przystrojenia koszyczka.

N. 12. Koronka do chustki batystowej. Wywodzenie na tiulu.

N. 14—16. Torebka na brzytwy.

N. 17—18. Serwetka z gwiazdek z mignardisse i tasiemeczki.



N. 14. Szlaczek wyszyty jedwabiem na tasiemeczce, do ryc. 16.

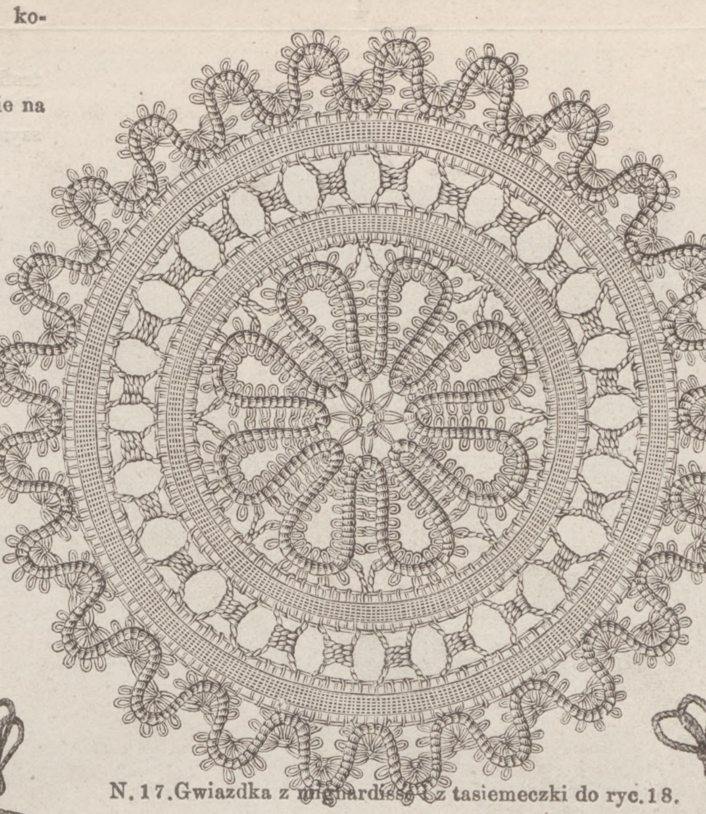
Rycina 17 załącza w naturalnej wielkości jedną z gwiazdek składających serwetkę ryc. 18; jest ona bardzo pośpieszna w robocie gdyż składa się z rzędów mignardissy i gładkiej tasiemeczki, z lewej strony przyczepianej do pikotów i przedzielonej tylko jednym rzędem pająčzków robionych igłą.

N. 19—21 i ryc. 13. Torebka na jedwab, nici, igły itp.

Na rycinie 19 przedstawiona torebka zamknięta; której wierzch stanowi robota szydełkowa z kolorowego kordonku, odrobiona zwykłym ściegiem w deseń widoczny na ryc. 21; objaśnienie kolorów podaliśmy na ryc. 13, urządzenie wewnętrzne wskazuje ryc. 20.

N. 22 i ryc. 35 w N-rze 8. Suknia z tuniką i stanikiem z baskiną.

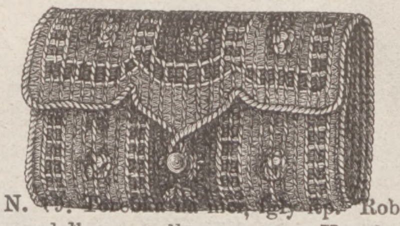
Rycina 22 podaje model sukni z materyału wełnianego jedwabnego, albo też z materyi i aksamitu. Dolne zakończenie sukni stanowią dwie plisy po 10 cent. szerokie poddane sztywnym muślinem, od góry podszyte i odwrócone, od dołu zakończone plisowaniem z materyału sukni również 10 cent. szerokiem. Przód tuniki założony w niższej połowie długości w poprzeczne fałdy, składa się z pasów 8 cent. szerokich, u dołu założonych w zęby, ciętych z obydwóch materyałów użytych na suknię.



N. 17. Gwiazdka z mignardisse i z tasiemeczki do ryc. 18.



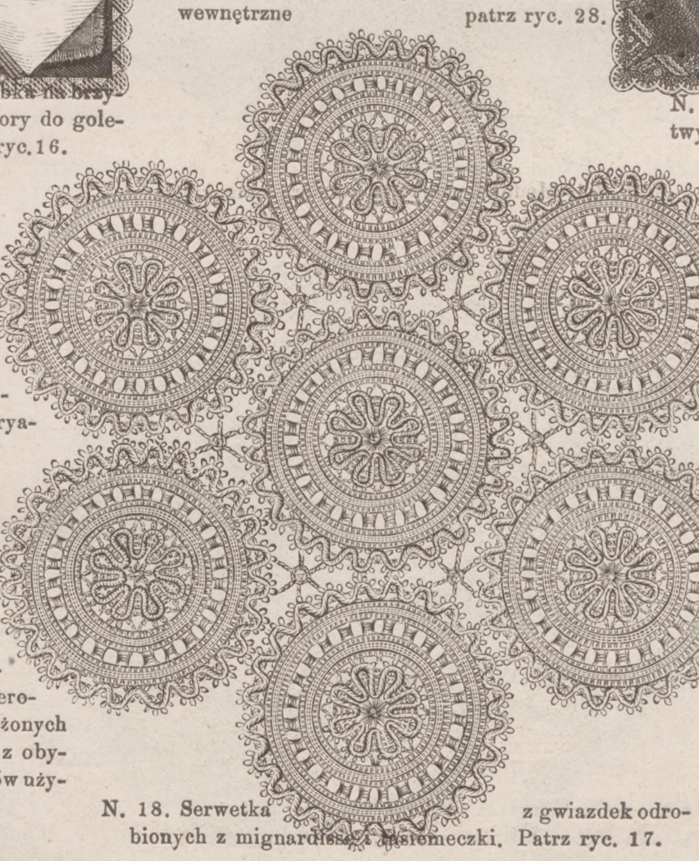
N. 16. Torebka na brzytwy i przybory do golenia. Patrz ryc. 16.



N. 19. Torebka na nici, igły itp. Robota szydełkowa podług ryc. 21. Urządzenie wewnętrzne patrz ryc. 28.



N. 16. Torebka na brzytwy. Strona zwierzchnia Patrz ryc. 14—15.



N. 18. Serwetka z gwiazdek odrobionych z mignardisse i tasiemeczki. Patrz ryc. 17.



N. 21. Robota szydełkowa do ryc. 19. Patrz ryc. 13.

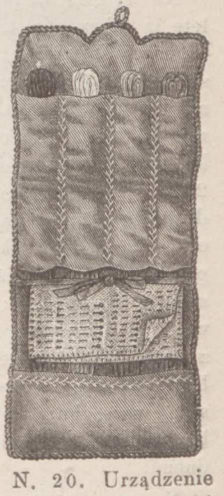
Tylny bryt zachodzący z boków na wierzch przodu oszyty jest plisowaniem; odpowiednio do przodu tuniki dane jest na staniku przybranie, tworzące podłużnie otwarty kołnierz i zakończające z tyłu baskinę, jak to wskazuje ryc. 35.



N. 22. Suknia z tuniką i stanikiem z baskiną.

N. 23. Suknia z vêtement. Krój vêtement można wybrać między podanemi w ostatnim kwartale roku przeszł.

Do sukni z ciemno-zielonego wełnianego materyału (neige) przybranie dodane jest z gładkiej zielonej materyi. Vêtement formą princesse, załączoną w N-rze 47 z roku przeszłego, przy ryc 36 i 37, z jednego boku ma przód zszyty z plecami i podpięty podług fałd oznaczonych na Fig. 6, z drugiego zaś brzegi zszywają się tylko na długość stanika a niżej odłożone są w wykłady wskazane na ryc. 23; szerokość dolna wykładów wynosi po 25 cent., są one podłożone sztywnym muślinem a z brzegów objęte grubą wypustką. Sznurowanie dane z grubego jedwabnego lub wełnianego sznura z kwastami. Dolne przybranie sukni stanowi 12 cent. szeroki skośny wolant, układany w kontrafałdy i plisowanie 10 cent. szerokie. Gładkie mankiety na rękawach są 10 cent. długie.



N. 20. Urządzenie wewnętrzne torebki na nici, igły i t. p. Patrz ryc. 19.

N. 24. Kołnierz i mankiety koronkowe.

Taka forma kołnierza i mankiety zakładane na wierzch wąskich rękawów coraz więcej się upowszechnia i należy do najmodniejszych. Garnitur przedstawiony na rycinie 24 jest z prawdziwej koronki duchesse.

N. 25—28. Rękawiczki, wachlarz balowy i sznur do wachlarza.

Przy toalecie balowej wykończonej z wyszukaną elegancyą i wytwornością, wachlarz i rękawiczki ozdobione są koronką taką jak suknia. Na ryc. 25—28 widzimy parę długich mitenek z białej koronki duchesse, które kładą się na rękawiczki glansowane. Szeroka koronka duchesse zdobi wachlarz wyrobiony delikatnie z konchy perłowej, do zawieszenia go służy kosztowny sznur biały jedwabny przerabiany nitką srebrną i naszyty perłami.



N. 23. Suknia z vêtement.

Oprócz koronkowych mitenek na ryc. 25—28 przedstawione są białe rękawiczki balowe ozdobione haftem, sięgające aż do łokcia.

N. 29—30 i ryc. 23 w N-rze 8. Suknia z dworskim trenem. Wskazanie kroju trenu dworskiego na arkuszu dodatkowym do N. 5 i 6 Fig. 61.

Na rycinie 30 przedstawiliśmy toaletę z olbrzymim trenem odpowiednią na uroczystości dworskie. Tren dworski szyje się z ciężkiej materyi lub aksamitu, tego co suknia koloru i garniruje tak samo jak suknia. Krój sukni do trenu dworskiego wskazuje ryc. 23 w N-rze 8; tren zaś kraje się podług Fig. 61 i przyszywa się do paska od sukni. Na sukni princesse tren przyszywa się poniżej wcięcia stanu, założywszy go od góry w szerokí nagłówek. Rycina 30 przedstawia suknię z materyi faille białej, z trenem z białego atłasu; przyozdobienie stanowią sute riusze, bufy i plisowanie z jedwabnej illuzyi, przepinane różami wodnemi.

Na ryc. 29 przedstawiona jest z przodu suknia atłasowa przybrana koronkami.



N. 24. Modny koronkowy kołnierz i mankiety.

Opis do N. 8.

N. 1—2. Sukieneczka z podwójną pelerynką, dla małej dziewczynki.

Uszyta formą princesse z ciemnego kaszmiru ozdobiona 2 cent. szerokiem plisowaniem i wypustkami z jasnej materyi, albo też z aksamitu i materyi. Przody wycięte są u dołu w zęby po 6 cent. długie a 8 szerokie; w odstępach między zębami podszyte od spodu kontrafałdy z materyi. Przy plecach sukienki u dołu dana 13 cent. szeroka falbana, ułożona w kontrafałdy, której przyszycie przykrywa pas 7 cent. szeroki, złożony w płaskie poprzeczne fałdy, u góry i u dołu podszyty drobniutkiem plisowaniem. Zwierzchnia część pelerynki jest 7 cent., spodnia 10 cent. długa. Guziczki srebrne okrągłe.



N. 29. Ubranie balowe. Patrz ryc. 30.

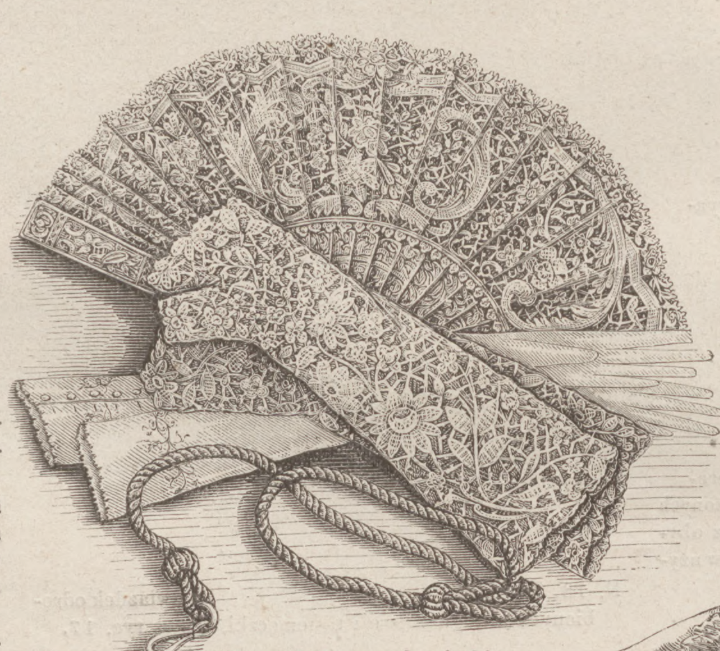
N. 3—4. Suknia princesse dla młodej panienki.

Rycina 3 i 4 przedstawia przód i plecy sukni princesse ze wstawionym przodem (plastron), której plecy są złożone w trzy kontrafałdy po 6 cent. szerokie, od góry przeszyte trzema galonami albo plisami z jaśniejszego materyału, niżej zaś puszczone wolno. Na ryc. 3 podana sukienka, była z różowego kaszmiru, zaś plastron wzdłuż przodów, rękawy, plisy, szarfa i plisowanie z materyi różowej. Na ryc 4 podaliśmy sukienkę z granatowego kaszmiru, przybraną niebieską materyą i taśmą z perełkami (éclair de June).

N. 5. Patarafka. Haft na aksamicie deseniowym (velours frappé).

Środek patarafki stanowi koło 28 cent. średnicy mające, z granatowego deseniowego aksamitu wyszytego kordonkiem niebieskim w dwóch cieniach. Brzegi otacza riusza siepana z materyi, albo riusza z piór.

(D. c. n.).



N. 25—28. Wachlarz, balowe rękawiczki i sznur do wachlarza.





N. 30. Suknia z trenem dworskim. Krój spódnicy do trenu podamy w przyszłym Numerze; krój trenu dworskiego podany na arkuszu do N. 5 i 6 N. XIX, Fig. 61.